MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 5 WARSZAWA, 30 STYCZNIA 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

NAJAKTUALNIEJSZE HASŁA

OD DWÓCH LAT mury miast naszych ugarnirowane są afiszami, wzywającymi szerokie masy społeczne do wspólnej akcji niesienia pomocy potrzebującym. Lecz, trzeba to przyznać, przechodzimy wobec tych wezwań obojętnie, nie zachęcają nas ani te ręce, cisnące się do puszki, ani ten chłop, ubrany jak do szopki w białą sukmanę i przynoszący rodzinie bezrobotnego kawał chleba, kożuch, buty i kartofle. Z równą obojętnością gotowi jesteśmy przejść wobec prawdziwej puszki jak i wobec prawdziwego cierpiącego z głodu i zimna biedaka.

Gdzież tkwi źródło tej obojętności na nędzę drugich? Dla czego nie potrafimy się zdobyć na żaden odruch współczucia, na żaden żywszy gest pomocy?

Sprawa nie jest ani taka prosta ani taka błaha, aby przejść nad nią do porządku, zwalając całą winę na zmaterializowanie naszych czasów, na brak poczucia obywatelskości i t. p. Całe to nasze nastawienie wydaje się być protestem przeciwko traktowaniu spraw społecznych tak, jak były traktowane dotychczas, przeciwko zmechanizowaniu i zbiurokratyzowaniu najbardziej żywotnych dziedzin naszego życia społecznego.

Przede wszystkim trzeba odrzucić twierdzenie, które często jest stawiane w wirze walki politycznej, że nędza jest wynikiem takiego czy innego rządu, takiej czy innej polityki. Bez wątpienia taki czy inny rząd, taka czy inna polityka może wpłynąć znacznie na stan liczebny istniejącej nędzy. Oskarżanie ustroju kapitalistycznego czy maszynizmu o wytwarzanie nędzy, jak to dziś z powodzeniem robią socjaliści, jest również tylko grą słów. Nędza istniała w każdym ustroju i w każdej epoce. Wprawdzie są ustroje i są epoki wpływające na jej nasilenie, lecz nie zmienia to sprawy, że nie było takiego momentu w dziejach świata, w którym by nędza była całkowicie zdławiona.

Utylitaryści współcześni z chęcią po takim powiedzeniu postawią kropkę. Była, jest i będzie— nie ma się więc czym przejmować. Odpowiednie zarządzenia dążyć będą do ograniczenia jej do *minimum*, do ukrycia przed oczyma przechodniów— i koniec. Zresztą sam Chrystus powiedział: „ubogich zawsze mieć będziecie między sobą..."

Dla tych więc wszystkich, namyślających się długo nad każdym gestem, który mógłby przypadkowo okazać się niepotrzebnym, sprawa jest prosta i zrozumiała. Lecz nie może być ona obojętna dla tych, którzy dążą nie do zastąpienia jednych rządów innymi, jednych ludzi drugimi, ale chcą zmienić podstawy struktury społecznej.

Być może nędzy nigdy nie potrafimy wykorzenić. Cóż stąd? My jesteśmy obowiązani realizować ustrój najdoskonalszy, choćbyśmy nigdy nie mieli zobaczyć zwycięstwa.

Współczesne ustroje są mieszaniną haseł socjalistycznych i koncesyj na rzecz kapitalizmu prywatnego. W stosunku do wielkich monopoli nastawienie jest raczej liberalne, w stosunku do szarego człowieka skrajnie etatystyczne. Szary człowiek gubi się w morzu przepisów i okólników—które są dla niego chińszczyzną — t. zw. instytucji społecznych, ponad ich działalnością przechodzi bez troski przedstawiciel koncernu wielkoprzemysłowego.

Państwo — opieka społeczna państwowa czy gminna — względnie państwowe *de facto* instytucje ponoszą ciężar rosnącego bezrobocia, pod którym się muszą ugiąć, mimo przerzucania tych ciężarów coraz intentywniej na rzesze urzędnicze. Monopole kapitalistyczne, zagrożone w swoim dochodzie—ofiarowują balast bezrobocia zetatyzowanym instytucjom „społecznym", uważając, że cała ta sprawa, po przerwaniu produkcji nic a nic ich nie obchodzi.

Socjalizm ma na to gotowe rozwiązanie: upaństwowić wszystko. Lecz czy sprawa się zmieni, gdy bankrutujące, monopolistyczne fabryki państwowe odsyłać będą swoich bezrobotnych do równie państwowych instytucyj opieki społecznej? Zresztą—mówiąc nawiasem—socjalizm nowoczesny

nie jest zbyt skwapliwy, jeżeli chodzi o powszechną etatyzację. Jego przywódcy, jak np. de Man idą na kompromis z klasami średnimi, ograniczając się w dążeniach do upaństwowienia tylko wielkich monopoli przemysłowych.

Podnoszę głowę i czytam: „gorące serca zwalczą mróz”. Nonsens. Nie ma gorących serc. Nie ma—ponieważ od kilkunastu lat wszelka akcja społeczna — ta t. zw. ustawowo opieka społeczna — dokonywała się ponad głowami społeczeństwa.

Współczesny ustrój społeczny jest kompromisem walczącego ze sobą od z górą stulecia liberalizmu i socjalizmu.

Liberalizm dążył do tego, aby wyzwolić człowieka ze wszystkich więzów, które mogłyby go krępować. Krótko mówiąc do tego, aby uwolnić go od wszelkiej odpowiedzialności za motywy swoich posunięć. Symbolem tych nieograniczonych pożądań jest tragiczna fikcja spekulatywna *homo oeconomicus*.

Socjalizm nie starał się zupełnie o odrodzenie poczucia odpowiedzialności, gdyż—jeżeli chodzi o dziedzinę wewnętrznego życia człowieka—stał na stanowisku nie mniej liberalnym, jak prąd, który zwalczał. Zdając sobie jednak sprawę z niebezpieczeństwa, które może wywołać szalejący bez żadnego wędzidła *homo oeconomicus*, ograniczał go ustawodawstwem państwowym.

W ten sposób urastało w nas pojęcie, że nie potrzebujemy się o nic kłopotać, bo wszystko za nas zrobi odpowiednia instytucja samorządowa czy państwowa. „Płacę — więc się bawię” stało się hasłem życia powojennego. Żebrak? Niech się nim zajmie policja. Nędzarz? Od czegóż jest gminny urząd opieki społecznej.

Dziś społeczeństwo nieodpowiedzialnych jednostek spogląda obojętnym okiem na zapraszające go do złożenia ofiary afisze. Nie widzi za nimi rzeczywistości. Widzi tylko załamanie się jakiejś dziedziny działalności państwa czy samorządu, oskarża o to rząd, względnie kryzys. Nie widzi prawdy.

Katolicka teoria społeczna wysuwa jako swój naczelny postulat renesans poczucia odpowiedzialności wśród ludzi. Personalizm katolicki, stawiając tak wysoko jednostkę ludzką i każąc jej dążyć do indywidualnego rozwoju, jednocześnie obciąża ją ciężarem odpowiedzialności za losy całego społeczeństwa. Warunkiem po prostu rozwoju jest praca dla dobra społeczeństwa. Odwróćmy to: wielkość tej pracy jest miarą rozwoju jednostki.

Katolicyzm, określając nader ściśle granice użytkowania dóbr materialnych przez jednostkę, poleca resztę przelać na dobro potrzebujących. Przelać nie jako jałmużnę, która ma zyskać nam sławę, uznanie i wdzięczność, ale jako obowiązkowe wypłacenie się z długu społecznego. Katolicyzm jest siłą zdolną zrewolucjonizować świat i dać mu zupełnie inne oblicze. Uchrześcijanienie wszystkich dziedzin życia byłoby rewolucją, której skutki okazałyby się tak zadziwiające, że dziś wydają się nam utopią.

Tylko w płaszczyźnie katolickiej idei społecznej znaleźć może zrozumienie hasło powszechnej pomocy. Poza nią pozostanie tylko szyldem, pod którym kryje się przymus — lub przebrzmi bez echa.

Wobec niebezpiecznych zakrętów, na których zatacza się wehikuł naszego życia i wciąż grozi katastrofą, warto jest uświadomić sobie, że tylko katolicyzm kryje w sobie pierwiastki bezpieczeństwa, tylko katolicyzm znajduje rozwiązanie dla każdego zagadnienia społecznego.

Lublin. JAN DOBRACZYŃSKI

POLSKA A BUŁGARIA

OSTATNIE tragiczne wydarzenia w górach Pirymu—znana ogólnie katastrofa samolotu polskiego i śmierć jego załogi — stały się mimowolnie ożywczym łącznikiem pomiędzy Polską a Bułgarią. Pamiętamy dobrze i pamiętać będziemy długo spontaniczne zainteresowanie losami zaginionych, samorzutnie urządzone poszukiwania, co najcenniejsze — serce, okazane nam w chwilach bardzo bolesnych. Jak powiedziałem, śmierć zrodziła życie, wzmocniła dawne węzły przyjaźni pomiędzy obu narodami. Uważam przeto chwilę obecną za najsposobniejszą ku przyjrzeniu się, jak wyglądały stosunki polsko-bułgarskie na przestrzeni ubiegłych stuleci. Znamy je zbyt mało i nie doceniamy należycie ich politycznego znaczenia.

Ogół społeczeństwa polskiego pamięta conajwyżej datę 1444, będącą, jak wiadomo rokiem bohaterskiej śmierci króla polskiego na polu chwały w odległej Warnie. Był to w istocie pierwszy, wspaniały w swojej ideowości gest monarchy chrześcijańskiego, udającego się w nieznane bliżej kraje na czele hufca rycerzy z jedyną myślą — wyzwolenia braci Bułgarów spod jarzma niewiernych. Rok 1444, rodzony brat Odsieczy wiedeńskiej, świadczył po raz pierwszy o tym, że Polska zdaje sobie sprawę z ważności utrzymania na terenie Europy ówczesnej panowania Krzyża Chrystusowego. Bez mała pięć stuleci spogląda na skromny kopiec, kryjący tuż obok Warny kości króla-bohatera. Byłoby jednak błędem sądzić, że epopeja Warneńczyka, to jedyny na przestrzeni tego długiego okresu akt, stwierdzający przyjaźń polsko-bułgarską. Zajrzyjmy głębiej w dzieje tej przyjaźni, o której mówi nam strona bułgarska w osobie wybitnego znawcy stosunków, profesora wszechnicy sofijskiej, Bojana Penewa.

Po klęsce warneńskiej, Polska nie dała bynajmniej za wygraną. Już w czterdzieści lat po niej wielki humanista i mąż stanu, Filip Callimach Buonacorsi nawołuje do nowej krucjaty na rzecz ujarzmionych przez Turcję Bułgarów. Udaje się on specjalnie do Rzymu, gdzie przedstawia Papieżowi Innocentemu VIII rozpaczliwy stan rzeczy. Nie naszą było winą, iż ważne sprawy wewnętrzne uniemożliwiły Polsce ponowną wyprawę zbrojną na Bałkany. Idea wyzwolenia Bułgarii kiełkuje jednak nadal, zyskując sobie coraz więcej zwolenników w Rzeczypospolitej. Łączy się ona w wieku XVII z intensywną propagandą katolicką na Wschodzie, a liczni, wybitni działacze bułgarscy wchodzą w coraz to ściślejszy z nami kontakt.

Dość zacytować działalność jednostki tak wybitnej, jaką był Piotr Parczewicz, który przez całe swoje życie pracował nad umocnieniem stosunków politycznych między Sofią a Warszawą. Pamiętamy dobrze pamiętniki i zapiski czynione przez Polaków, którzy w tym samym stuleciu odbywali regularną podróż między Polską a Carogrodem, a zatym zmuszeni byli mijać ziemie bułgarskie.

Z tych antycznych zapisek widzimy jak na dłoni, ile zainteresowania budził w nich barwny folklor tego kraju, zwyczaje ludowe, sztuka zdobnicza a zwłaszcza bogate pieśniarstwo bułgarskie. Podróżnicy polscy stykali się z tym ludem, widzieli jego prześladowanie i nędzę polityczną a jednocześnie niezwykłą gościnność. Autorem najciekawszych może zapisek o Bułgarii był wielki nasz poeta, Samuel Twardowski. Kto wie, może jego wielki autorytet w piśmiennictwie sprawił, że zainteresowanie sprawami Bułgarii wzrastało. Należało wówczas ratować własne granice, przeciwstawiać się, niestety bezskutecznie, trzem, solidarnie nas atakującym potęgom. Idea probułgarska odżywa ponownie w ubiegłym stuleciu. Łącznikiem stała się emigracja polska, która po upadku powstań narodowych 1831 i 1848 r. szukala schronienia poza granicami kraju. Wielu z naszych powstańców osiedliło się w Turcji, nie mniejsza ilość znalazła się na ziemiach bułgarskich. Tu, w codziennym kontakcie z ludem, poznawali oni najlepiej jego charakter i wartości moralne. Niektórzy z nich otrzymali niezwłocznie stanowiska w wojskowości i administracji. Powstały nawet ośrodki polskie, np. w Szumenie i Śliwnie, w których byliśmy niekiedy w większości; niejednokrotnie drobne osiedla rozwijały się i dzięki współpracy z szerszym wychodźtwem nabierały kultury. Dzięki żywemu kontaktowi z pionierami naszych powstań zaczęły na terenie Bułgarii powstawać tajne organizacje niepodległościowe, w których czynny współudział brali emigranci polscy: Mieliśmy wpośród nich jednostki tak wybitne, jak Teodor Jeż (Miłkowski), który w jednej ze swych, na wygnaniu napisanych powieści („Deli Petko“) odmalował w sposób bardzo wierny dzieje niewoli bułgarskiej. Do rzędu dokumentów z tego okresu należą opowiadania słynnego Sadyka Paszy (Czajkowskiego) oraz dzieła, mało u nas znanego pisarza, Walerego Wołodźki.

Najwybitniejszym z nich, zwłaszcza jeśli idzie o działalność rewolucyjną był bezsprzecznie Sadyk Pasza. Spędził on na ziemiach tureckich bez mała lat trzydzieści, biorąc czynny udział w bułgarskim życiu konspiracyjnym. Znał Czajkowski wszystkich najwybitniejszych działaczów z tego okresu (1840—70), jak Bozweli, Ilarion, czy— Rakowski, Dzięki swoim wpływom u Wielkiej Porty uzyskał on nawet zezwolenie na zorganizowanie kilku pułków słoweńskich, w skład których weszli Polacy i Bułgarzy. Uważano je nad Maricą za „swoje wojsko”, gdyż istniało kilka oddziałów złożonych wyłącznie z żołnierzy bułgarskich. Znaczenie oddziałów Sadyka Paszy było jednakowo ważne tak dla Bułgarów jak i dla przyszłej Polski. Budziły one ducha bojowego, uczyły karności, stając się tem samem embrionem przyszłych formacji polskich.

Prof. Penew poświęca sporo uwagi czasom najnowszym, to znaczy stosunkom polsko-bułgarskim w ostatnim dwudziestoleciu. Podczas gdy inni Słowianie współzawodniczyli w atakach na Bułgarię, uważając ją za zdrajcę Słowiańszczyzny, Polacy jedyni wytrwali w swoich niezmiennych sympatiach dla Bułgarii, nigdy nie robili jej zarzutów, nie odsądzali jej za walkę, jakże słuszną, o zjednoczenie narodowe. Strona bułgarska stwierdza—i to jest bardzo znamienne—że Polacy najlepiej rozumieli dążenia polityczne tego narodu. „Oni (Polacy) ani razu nie wypowiedzieli się, jak to mówili inni Słowianie, że kwestia macedońska nie powinna stanowić nieporozumienia między nami a Serbią, że jest rzeczą obojętną, czy Macedonia pozostanie w rękach serbskich, czy — bułgarskich”, pisze Penew. Możemy z naszej strony stwierdzić, że długi szereg wybitnych polskich mężów stanu wypowiadał się zawsze po stronie słuszności narodu bułgarskiego. Największe w tej mierze zasługi przypisać należy znanemu naszemu orientaliście, Janowi Przegonowskiemu, prof. Zdziechowskiemu, b. posłowi w Sofii, dr. T. Grabowskiemu.

Również i na polu piśmiennictwa dobrze zasłużył się przyjaźni polsko-bułgarskiej Tadeusz Miciński, poświęcając na łamach prasy bułgarskiej wiele uwagi sprawom tym, rozpatrywanym przezeń zawsze pod prometejskim kątem widzenia. Wreszcie nadeszły lata ostatnie, pozwalające obok uprzednio zarysowanej współpracy konspiracyjno-politycznej na wzajemną wymianę kulturalną. Zjawiają się coraz częstsze tłumaczenia z literatury i poezji polskiej. Bułgaria poznaje Mickiewicza i Krasińskiego, a następnie mistyczne koncepcje Norwida. Bardzo lubianą lekturą były na gruncie sofijskim dzieła Przybyszewskiego. Nie znając jednak całokształtu literatury najnowszej, wyciągano z nich niejednokrotnie błędne wnioski o walorach duszy polskiej. Dopiero w latach ostatnich luka ta zaczyna się zwolna zapełniać. Ingerencja kulturalna ze strony polskiej znajduje współczynnik niemniej ważki od literatury w postaci teatru, a zwłaszcza — muzyki. Moniuszkowska „Halka”, wystawiona na scenie Opery sofijskiej dzięki staraniom cenionego kapelmistrza naszego, Mazurkiewicza, odsłoniła przed oczyma publiczności bułgarskiej o wiele jaśniej psychikę polską, niż to uczyniły fragmenty literackie. Wskazała jej ona na tradycje i obyczajowość staropolską, na głębię uczucia, jakie posiadamy nie mniej od braci Bułgarów w pieśni ludowej. Wystawienie „Halki” stało się jednym z najbardziej bogatym w skutki aktem naszej propagandy zagranicznej. Po nim przyszła coraz już częstsza wymiana artystyczna w postaci koncertów, wystawy grafiki polskiej i nawzajem — niezapomnianej bytności zeszłorocznej znakomitego zespołu chóralnego „Gusła”.

Bułgaria nie ogranicza się do biernego zainteresowania kulturą Polski. Deleguje ona do nas swoją młodzież na studia wyższe, zwracając baczną uwagę na sprawy folkloru. W zetknięciu z jednym z młodych muzyków, p. Dimitrowym, studiującym u nas muzykologię, uczniem Karola Szymanowskiego, dowiaduję się, że folklor muzyczny, ściślej mówiąc — pieśń ludowa stanowi w Bułgarii potęgę. Pieśń ta, datująca się od czasów średniowiecznych, krzepiła ducha narodowego w epoce najcięższej niewoli politycznej. Kilkadziesiąt tysięcy zebranych dzisiaj pieśni bułgarskich w swej niezwykłej różnorodności melodyjnej, a zwłaszcza

rytmicznej, stanowią nielada „Kobierzec dźwiękowy", który postawić należy słusznie obok barwnych wypowiedzeń bułgarskiej sztuki ludowej w zakresie haftu i zdobnictwa.

Słoneczność i dostojna powaga tych pieśni kontrastuje wyraźnie z epoką smutnej pamięci okupacji tureckiej.

Kult wzniosłej miłości i apologia kobiety — idealizm uczuć a zwłaszcza niezwykłe umiłowanie ziemi ojczystej — oto w syntetycznym skrócie zasadnicze cechy wokalnego folkloru Bułgarów. Z tego folkloru wiele się bardzo można nauczyć.

Dobrze się zatem stało, że na przestrzeni wieków, dzielących nas od tragicznej glorii Władysława Warneńczyka przyjaźń polsko-bułgarska nietylko przetrwała, nie zamącona najmniejszym dysonansem, ale dzięki ostatniemu zdarzeniu, pogłębiła się jeszczebardziej.

Szereg faktów i nazwisk najcelniejszych propagatorów tej idei zbliżenia obu narodów bynajmniej nie wyczerpuje przedmiotu. Przyszłość stosunków polsko-bułgarskich posiada jeszcze wiele kart niezapisanych, które—miejmy nadzieję—wypełnią się przez rezultaty wzajemnego przenikania, zwłaszcza w dziedzinie kulturalnej.

W—b.

POEMAT ANDRZEJA ZAWISZY

KONCENTRACJA talentów literackich, grafomańskich, dyletanckich czy rzetelnej marki artystycznej, w rodzinach polskich jest zjawiskiem, które się powtarza niejednokrotnie w dziejach literatury polskiej. Występuje ona często zwłaszcza w rodzinach magnackich, albo też w takich, które się powoli pną ku splendorom możnowładztwa polskiego — również i na polu literackim.

Bogata pod tym względem zwłaszcza epoka saska, w której parają się piórem Załuscy, Rzewuscy, zwłaszcza zaś sporo Jabłonowskich. Właściwy przykład dał już polski renesans, w którym wysunął się na plan pierwszy ród karmazynów Kochanowskich. Ród to niewątpliwie uzdolniony i zasłużony dla kultury narodowej. Wystrzeliły przecie z niego dwie szlachetne latorośle: czarnoleski Jan i jego bratanek Piotr, ingenium poetyckie, które w tłumaczeniach Ariosta i Tassa nieraz, i to skutecznie, rywalizuje z wielkim stryjem. Bracia rodzeni Jan, Mikołaj i Jędrzej dobrze są znani zawodowym historykom literatury, a drugi synowiec Jana, Krzysztof, dorzucił listek sławy do laurowego wieńca swego stryja.

Wiekowi XVII zaszczyt przynoszą dwaj Opalińscy. Tajemniczy, a interesujący Łukasz jest niemniej ciekawy od nastrojonego po sarmacku Krzysztofa. Rękopisy drugiej połowy polskiego siedemnastowiecza, kiedy to szczera, prawdziwa, a więc i weredyczna poezja musiała uciekać od druków, niejedną dla nas zapewne kryją tajemnicę i miłą niespodziankę. Przecież badania ostatnich dziesiątków lat, zwłaszcza zaś niestrudzonego Al. Brücknera, dały pod tym względem już bardzo wiele. Dzięki nim wzbogacono galerię pisarską rodu Morsztynów, w którym arcymiły, choć nie tak znów wykwintny Hieronim-Jarosz lub bezpretensjonalny szczery poeta obozowy Zbigniew idą o lepsze z kunsztownym, lecz zimnym jak lód Andrzejem.

Nie tak wysokie, ale niepodłe miejsce należy się na polskim Parnasie siedemnastowiecznym rodzinie Zawiszów. Najwięcej dotychczas słychać było o Krzysztofie Zawiszy, poecie, mówcy, polityku i pamiętnikarzu swych czasów. Pisał o nim Julian Bartoszewicz we wstępie do jego pamiętników. Dwie córki Krzysztofa Maria i Barbara Radziwiłłowa też są notowane dla swych utworów w literaturze pięknej; z ostatniej talent literacki spłynął na jej syna Udalryka, który dość poczesne miejsce zajmuje w literaturze epoki saskiej, a którego trudno przecież anektować na rzecz rodu Radziwiłłów.

Okazuje się teraz, po przestudiowaniu skarbów rękopiśmiennych w XVII, że protoplasta całej tej literackiej czeredki, ojciec Krzysztofa, też miał niezgorsze pióro literackie. W Warszawie, w bibliotece Krssińskich, przechował się rękopis, własnoręcznie sporządzony, Krzysztofa Zawiszy; zatytułowany: „Zebranie różnych mów, listów, fragmentów, różnym służące materiom, ręką własną pisane od r. Pańskiego 1686, sukcesorom dla przykładu i naśladowania, innym wszystkim dla pamięci imienia Krzysztofa Stanisława na Baksztach i Berdyczowie Zawiszy, mińskiego natenczas i czeczerskiego starosty, a najpierwiej, najbardziej i najosobliwiej Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Św. Jedynemu na cześć i na chwałę wieczną".

Pierwsza część tego rękopisu obejmuje mowy własne Krzysztofa, znane już dobrze, bo drukowane w latach 1728 i 1738. Druga część jest ciekawsza: ta zawiera szereg wierszy różnych autorów (jest to jakby miniatura znanego zbioru wierszy, „zbieranej drużyny" Trembeckiego, który wydał drukiem Brückner). Trzeba stwierdzić prawdę, że wiersze samego Krzysztofa są bardzo słabe: widocznie późniejszy wojewoda miński był lepszym mówcą, niż poetą. Zato wiersze jego litewskich przyjaciół są wcale niezłe i wszystkie mają na sobie szczery stempel włoskiego baroku. Szlachta litewska miała sporo czasu, skoro się mogła bawić komponowaniem fraszek literackich à la Marini. Bezstronnie należy stwierdzić, że miała również i siły po temu. Kto im był bezpośrednim mistrzem w tych poetyckich zabawach, trudno odgadnąć. Może sam podskarbi koronny, którego wytworne erotyki mogły przecież docierać w odpisach na Białoruś, W każdym razie taki np. Haraburda reprezentowany jest w Miscellaneach Zawiszy bardzo poważnie ilościowo i jakościowo. Warto by się nim zająć osobno.

Ale nie o niego mi tutaj chodzi, tylko o ojca Krzysztofa, Andrzeja Zawiszę. Spuściznę poetycką swego ojca wpisał syn z pietyzmem do swego zbioru, notując obok każdego utworu na marginesie: pisał to św. pamięci „oyciec muj" (ortografia wojewodzińska autentyczna). Andrzej Kieżgajłło Zawisza, według opinii Niesieckiego, „był człowiekiem uczonym i w konwersacji miłym". Pozycję

społeczną zajmował znaczną; był pisarzem W. X. Lit., starostą mińskim i słonimskim, przez żonę, Ogińską, wszedł w koligacje z najpierwszymi domami na Litwie.

W zbiorze Zawiszy są dwie rzeczy pióra Andrzeja, które zasługują, aby im się przyjrzeć zbliska. Jednak—to bardzo zgrabnie zmajstrowany drobiazg literacki „Rozmowa młodzieńca z damą", którego nie powstydziłby się sam Andrzej Morsztyn. A już prawdziwą niespodziankę sprawia dłuższy poemacik p. t. „Odmiana stanów Korony polskiej W. X. Lit. za odmianą ojczystych obyczajów".

Już tytuł utworu informuje o jego treści, którą są narzekania na upadek polityczny państwa polskiego, spowodowany upadkiem moralnym samego społeczeństwa szlacheckiego. Temat więc dawny i już nieraz, przedtem i potem, praktykowany w literaturze naszej. Ale lamenty patriotyczne Zawiszy wypowiedziane są w języku, którego poziom nie jest wcale gorszy od przeciętnego poziomu kultury językowej wieku siedemnastego; dodajmy, że lamentacje Zawiszy wyrażone są z większą siłą przekonania, nasuwając przypuszczenie, że autor szczerze przeżywał te wzruszenia, którym daje, lub dać usiłuje, wyraz poetycki.

Próżno się synu koronny, frasujesz,
Na Nieba skarżysz, Nieba w tym winujesz,
Próżno rozumiesz, że twoje zniszczenie
Boskie przed wieki zrządziło przejrzenie,
Próżno powiadasz, żalem zawiedziony,
Że z wieków państwom termin naznaczony.
Nie jest tak (wierz mi), aby Nieba były
Ojczyzny zgubą; swawole zrobiły
Sprawił nasz nierząd, sprawiła odmiana
Rzeczy, ojczyzna że nasza zdeptana.

Tym programowym wyznaniem Zawiszy rozpoczyna się jego utwór. Jest tu postawienie kropki nad i, jest pewne retrospektywne stwierdzenie smutnej nader rzeczywistości politycznej, jest więcej, bo desperackie niemal zwątpienie w możliwość dalszego istnienia państwa polskiego.

Zapytamy więc, kiedy utwór był pisany, na podstawie jakiej konkretnej epoki politycznej Polski?

Zawisza pisał swój utwór u schyłku życia (Niesiecki nie podaje daty jego śmierci, ale pisze, że żył jeszcze w r. 1674). Treść utworu dostarcza nam ściślejszych danych, dotyczących chronologii utworu, a to w tym miejscu, gdzie Zawisza piorunuje na upadek senatu litewskiego. Po wykazaniu, że senat nie spełnia roli bezwzględnego „stróża wolności", bo go nie spełni senator przedajny, karierowicz, szukający promocji przez małżeństwa z damami fraucymeru królowej, pisze Zawisza:

Ale to większa, nowy przykład macie:
I plenipotent siedzi już w senacie.

Zanotowane na marginesie nazwisko Orda wskazuje, że tym plenipotentem był Stanisław Wincenty Orda, instygator koronny. Mianowano go na sejmie komisarzem do rozrachunków z wojskiem, a w r. 1670 kasztelanem żmudzkim, z prawem oczywiście zasiadania w senacie. Według więc wszelkiego prawdopodobieństwa gorące uwagi pisarza litewskiego pisane były po roku 1670, u schyłku panowania Michała Wiśniowieckiego. Po traktacie buczackim z r. 1672, po głośnych na cały kraj desperackich rwaniach sejmów przez Grudzińskiego i Ubysza w tymże r. 1672, zrozumiała jest dla nas aż nadto tragiczna wymowa słów Zawiszy o „zdeptanej ojczyźnie" i smutne dla niej jego horoskopy na przyszłość. Był to przecie czas najazdu Mahometa IV na Polskę, zabrania Podola i wiszącej nad krajem groźby rozbioru Polski między sąsiady.

Krótka ta dygresja chronologiczna pozwoli nam na lepsze wczucie się w atmosferę całości utworu Zawiszy.

Słyszeliśmy już jego zdanie o senacie świeckim.

Senat duchowny wygląda bodaj gorzej. Biskupi zajęci są wszystkim, tylko nie obowiązkami swego stanu. Nie dziwota. „Ci są biskupami, co złoto noszą dużymi workami". Infułat tedy trzyma koło siebie „mądrych kapłanów", którym porucza troskę administrowania diecezją, nawet o brewiarzu zapomina, bo go odeń „papież z Rzymu dyspensował". Sam zaś pilnie gromadzi doczesne dostatki na użytek swej rodziny; o sobie, o swych rozkoszach życiowych również nie zapomina:

............w sukienkę opiętą ubrany
Każe zaśpiewać hymn gładkiej Diany,
Coraz trzewiczkiem trząsając udatnym
I nogę stawi w jedwabiu szkarłatnym.

A kiedy słusznie chmiel głowę otoczy,
Z pięknym stworzeniem i w taniec wyskoczy,
Mówiąc: Przodkowie toż nasi czynili,
A przecie sławy wielkiej ludzie byli.

Mowa tu ponoć o biskupach: poznańskim Wierzbowskim i chełmskim Żegockim. Za przykładem „starszyzny i w zakonnym stanie cudowne jakieś rzeczy zamieszanie". Krótko mówiąc, erotyczne rozbestwienie mnisze, które Zawisza maluje barwami przypominającymi nam słynny makaron Orzelskiego z połowy w. XVII.

Na „stan szlachecki" piorunuje Zawisza za niesłychanie wystawny tryb życia szlacheckiego, pochłaniający fortuny ziemiańskie, za zupełne zanarchizowanie życia publicznego i politycznego Polski Korybuta, w której „wszystko dzieje się pod płaszczem wolności". Winą tego zanarchizowania naszego życia jest, że

.........................jedna osoba
Rwie całe sejmy, gdy mu się podoba,

jak i to, że w życiu publicznym, jak zresztą i prywatnym, nikt nie jest pewien dnia ani godziny — swego życia i swej majętności, wobec braku wszelkiej egzekutywy urzędów publicznych:

Próżne wobec tego są narzekania Zawiszy:

Nie tym ci torem prawa wolność chodzi:
Co chcesz, to czynić, ale co się godzi.
Naszego tedy upadku nie trzeba
Walić na fata i gniewliwe Nieba.

Dostaje się osobno polskiej „młodzi" i stanowi żołnierskiemu, które nie są zdolne do jakiej takiej obrony kraju.

Specjalną ansę czuje Zawisza do „stanu białogłowskiego", który nicuje niemiłosiernie, osobno mężatki, osobno wdowy i panny. Dostaje się mężatkom za rozpasanie w zbytkownym życiu i wymyślnych strojach, za udrękę mężów i wielką skłonność do ich zmiany, wdowom za niestrudzone starania o nowego męża czy choćby tylko gaszka, ledwie „pan małżonek miły boskim wyrokiem zajrzy do mogiły". Sporo kart swego poematu poświęcił autor córkom, które wiernie idą

śladem swych wyrodnych matek, prześcigając je nawet w „wymyślnych strojach białogłowskich". Tutaj wchodzi Zawisza w drobne, realistycznie potraktowane, szczegóły stroju ówczesnych modniś polskich.

Drażnią go ich „francuskie kabaty", odsłaniające gołe ramiona, plecy i piersi, „cel łakomego oka"; denerwują „trzewiczki złote z długimi nosami", włos, „na wiatr puszczony, pachnącym z wierzchu pudrem osypany, że z podziwieniem tak młodego ciała przed czasem wszystka głowa osiwiała"; szyderstwa wywołuje „ozdoba głowy i lica gaza albo li czarna jedwabnica", zwłaszcza zaś twarz, która „bez włoskiej farby i bez mydła, bez weneckiego nie wytrwa bielidła". Skutek tego? Szlacheckie panny, wytrącone ze staropolskiej scieżki skromnego życia, schodzą łatwo na manowce wyuzdanych i pokątnych miłostek. A wszystkiemu winne te francuskie obyczaje, no i „zła dzieci edukacja", to zatrute źródło, które unicestwia w zarodku żywą energię narodu.

Wychowany we fraucymerze młody Polak nie ima się oczywiście znienawidzonej broni swych przodków, nie idzie naturalnie ich śladami; nie widać go na Podolu (Buczacz), na Ukrainie, na Dzikich Polach, w „zadunajskiej ścianie". Zato go pełno w obcych krajach, „gdzie w zapalczywej miłości pożarze serca wykwitłe cieszą wirydarze"; tam kończy edukację tak godnie, jak ją rozpoczął w kraju:

I ów, co miał być ozdobą Koronie,
Młodość swą psuje na pieszczonym łonie.

Zupełnie nieoczekiwane są wnioski pana pisarza litewskiego. Okazuje się, ten spodlały w służbie Wenery młodzieniec nie jest wprawdzie zdolny do rycerskich rozpraw z szablą w ręku, ale go stać jeszcze na polityczne w kraju wichrzenia; on to

Subtelne rady wymyślnie zasadza,
Żeby jednego była tylko władza,
By też w ostatku Polska zginąć miała,
Byleby zwierzchność górę otrzymała.
Gani ustawy, tylko same chwali,
Co Francuzowie lub Niemcy pisali.

Tu cokolwiek wyłazi szydło pana pisarzowe z worka i jego polityczne wyznanie wiary. Stać go, jak widać z treści całego poematu na spiorunowanie złotej wolności szlacheckiej, która tyle przecież zła narobiła wtedy, ale nie stać go już było na wydobycie się z powszechno-szlacheckiej psychozy i na zajęcie rozumnego stanowiska wobec dworskich prób reform, datujących się, pod natchnieniem zagranicy, już od czasów Jana Kazimierza. Zwyciężył w Zawiszy „zdrowy", stadny demokratyzm szlachecki, co niezbyt pochlebnie świadczy o jego rozumie politycznym w zakresie najwyższych kwestii „*status Reipublicae*".

Taka jest treść ogólna poemaciku Zawiszy, dydaktycznego, jak z naszego przeglądu wynika.

Pod tym względem „Odmiana stanów" jest jednym z licznych w w. XVII utworów dydaktycznej muzy polskiej, uderzającej w upadek poziomu życia obyczajowego społeczeństwa szlacheckiego, jako źródła upadku politycznego państwa polskiego. Tendencja utworu Zawiszy jest oczywiście trafna, choć nie jest oczywiście oryginalna. W podobny sposób stawia zagadnienie szereg pisarzy wieku siedemnastego, ustalając ścisłą zależność między moralnością społeczeństwa polskiego a jego potęgą polityczną. Współrzędność tych zjawisk socjologicznych łatwo ustalić u Piotra Żbylitowskiego („Przygana wymyślnym strojom białogłowskim", „Schadzka ziemiańska"), u Witkowskiego („Złota wolność koronna"), u Starowolskiego („Reformacja obyczajów polskich", „Prywat", „Pobudka"), zwłaszcza zaś w „Satyrze na twarz Rzeczypospolitej" Twardowskiego i „Satyrze na twarz dworską" Rysińskiego. Posępny wiek XVII, zwłaszcza zaś tragiczna jego druga połowa, sam prowokował wystąpienia tych pisarzy, poruszał żółć patriotów i zaostrzał pióra szlacheckie do zgryźliwych, nieraz nawet namiętnych filipik przeciw zaślepionemu społeczeństwu, które dobrowolnie szło w przepaść zguby i rychłej niewoli. Podobna rzeczywistość wywołuje podobne echa literackie, z pewnym jednak zastrzeżeniem.

Rzeczywistość ta ma skłonność podobnego załamywania się w „soczewce" literackiej pisarzy poszczególnych. Pisarze siedemnastowieczni nie są skłonni wszyscy samodzielnie zaobserwowaną rzeczywistość ujmować samodzielnie pod względem kompozycyjnym, struktury literackiej; niektórzy z nich posługują się gotowymi już formami, wzorami, sposobami i chwytami literackimi, pozostawionymi im przez ich poprzedników w literaturze. Dzieje się tak albo z lenistwa pisarskiego, albo z braku sił literackich. „Proteus" szesnastowieczny, „Satyr" Twardowskiego i Rysińskiego noszą na sobie piętno wzorca formalnego „Satyra" Kochanowskiego.

Świadectw posługiwania się szablonem formalnym dostarcza również „Odmiana" Andrzeja Zawiszy. Takim klasycznym świadectwem jest sposób skomponowania przez Zawiszę obrazka dworu szlacheckiego, pełnego sprzętu rycerskiego, który przez domatorską szlachtę został obrócony na potrzeby doczesne i dość nawet poziome gospodarstwa codziennego („z koncerza rożen, kredens z buzdygana" itd.). Jest to niewątpliwa kopia znanego miejsca z „Satyra" Kochanowskiego, która się zresztą powtarza niejednokrotnie u moralistów w. XVII, by znaleźć wreszcie najdoskonalsze chyba wcielenie formalne w opisie dworku Macieja Dobrzyńskiego w „Panu Tadeuszu".

Większe podobieństwo w doborze i układzie treści znajduję między Zawiszą a satyrami największego weredyka wieku siedemnastego, jakim jest Krzystof Opaliński. Zawisza, podobnie jak Opaliński, analizuje stan społeczeństwa polskiego według jego stanów, podobnie jak on zatrzymuje się specjalnie nad edukacją młodzieży; skłonny jest nawet wzorem Opalińskiego do tych samych zarzutów pod adresem kobiet (np. zarzut trucicielstwa mężów). Nasuwa się przypuszczenie, chociaż nie ma absolutnej pewności, czy Zawisza pisząc swój utwór nie miał przed sobą egzemplarza satyr Opalińskiego, które wyszły na lat kilkanaście przed skomponowaniem zawiszowej „Odmiany".

Sądzę jednak, że te niewątpliwe pożyczki Zawiszy u poprzedników nie dyskwalifikują jego poematu; może on zachować swe znaczenie jako jedno z ogniw—skromnych wprawdzie, ale niewątpliwie szczerych — tego łańcucha trenów patriotycznych nad upadkiem społeczno - politycznym Polski, które się ciągną od renesansu poprzez cały wiek XVII aż do epoki saskiej.

Jest w tym poemacie jeszcze jeden moment, który jest wart podkreślenia.

Zawisza posiadał nietylko szczery zmysł weredyka, ale również znaczne poczucie rzeczywistości i dość rozwinięty zmysł obserwacyjny. Tym jego dyspozycjom psychicznym mamy do zawdzięczenia niezłe wcale obrazki rodzajowe, niektóre *con amore* wystudiowane i oddane w „Odmianie”.

Oto, np., jak żywo przedstawia Zawisza scenkę zwady szlacheckiej.

I gdy się z krwawej kto marsowej wojny
Do domu wrócił na żywot spokojny,
Nie wytrwał długo, przywykły do boju,
Znalazł przy pełnej bitwę i w pokoju.
Aż jeden z okiem i przeciętym czołem
Ledwie nos znalazł daleko pod stołem.
Drugi przebity jakoby wół ryczy,
Trzeci się czterech zębów nie doliczy.
Ów poraniony palce w izbie zbiera,
Kulą w bok wziąwszy ostatni umiera,
A nie kontenci tymi tryumfami,
Harcują jeszcze w ulicach z szablami.

Obrazek niezły, niegorszy od podobnego ze „Schadzki ziemiańskiej” Zbylitowskiego. Dobry jest portret krygującej się podstarzałej modnisi, jak również portret modnego młodziana, który w sposobie podpatrywania rzeczywistości przypomina manierę literacką Reja:

.... młodzian znamienity,
W dymę, jak może najcześniej, oszyty.
Szabla u boku krzywa: wola czyja,
Węgierka w pięty godziny wybija.
Łeb wygolony, a czupryny mało:
Sześć włosów ledwie na głowie zostało.
Czapka wołoska albo krymka mała
Głowy wierzchołek tylko otrzymała,
A oczy, czoło, skronie wygolone
Wiatrom i mrozom srogim zostawione.
Z postawy stąpa, łomie się i chwieje,
Kto go więc nie zna, mniema, że szaleje.
A kiedy ujrzysz idącego w tany,
I przysiąc trzeba, że w krzyżach złamany.
Łubie na łęku i strzały u konia,
Piórkami ledwie wyżej podogonia.
Burka z lewego spuszczona ramiona,
Strzelby nie pytaj, bo rzecz uprzykrzona.

Wyniesione na światło dzienne jego obrazki rodzajowe, jak malowidła flamandzkie, nabierają kolorów i kształtów prawdziwego życia; z niego zresztą powstały.

Sądzę, że warte były trudu odgrzebania ich spod pyłu bibliotecznego.

Dziełko Zawiszy specjalnego zaszczytu literaturze siedemnastowiecznej nie przynosi, ale też poziom jego nie jest wcale niższy od przeciętnego poziomu literackiego utworów mu współczesnych. Największe jego braki płyną z braku znaczniejszej kultury literackiej autora, ściślej—kultury języka. Ale nie zapominajmy, kiedy powstało. Przecież to druga połowa w. XVII, który coraz wyraźniej zrywa z tradycjami renesansu i jego kultem wykwintnego, choć prostego języka literackiego.

ALEKSANDER KRASIENIECKI

O POMYŚLE I MOTYWACH „KLĄTWY”

DZIWNYM zbiegiem okoliczności w ostatnim czasie prawie równocześnie, wpadła mi w ręce większość materiałów, z których St. Wyspiański zbudował osnowę swojej „Klątwy”.—Uważam za swój obowiązek materiały te ogłosić.

Niedawno na pogrzeb proboszcza w Bieczu zjechało się sporo duchowieństwa z całej diecezji tarnowskiej.—Między innymi przyjechał też dawny tutejszy wikary ks. Lasocki, obecny proboszcz w Padwi Narodowej. Padew Narodowa wraz z Gręboszowem należą do dekanatu w Olesnej. W towarzystwie mówiliśmy o przepięknej i przykładnej śmierci dawnego dziekana z Olesna, ostatnio proboszcza w Bochni ks. Wilczkiewicza. „Są to strony i ludzie, o których zahacza „Klątwa” Wyspiańskiego” — mówi ks. Lasocki. — Sama akcja tej tragedii dzieje się w Grębieszowie. Była to tragedia straszna bo doprowadziła aż do utraty zmysłów księdza — jednak w rzeczywistości zupełnie inaczej wyglądała, aniżeli ją ówcześni ludzie i sam Wyspiański przedstawili. Po ks. Wilczkiewiczu zostały akta dekanalne, a w nich protokół podpisany przez świadków może jeszcze do dzisiaj żyjących. Dopiero dzisiaj, po śmierci głównych aktorów dramatu, czas na rehabilitację jednych, a potępienie innych. Jeszcze żyje polityk wiejski w Gręboszowie, któryby dużo mógł na ten temat powiedzieć, ale nie zechce, gdyż jego to intryga całe nieszczęście wywołała. Nazwiska jego nie podaję, gdyż ks. Lasocki, nie zastrzegając tajemnicy całej opowieści, jednak nie życzył sobie, aby to nazwisko wypłynęło. Ot względy ludzkie. Polityk ten przez księdza na ludzi wyprowadzony, później stał się tak możny, że nie tylko swego proboszcza wygryzł z plebanii, ale nawet czynił to ze wszystkimi proboszczami, którzy mu na rękę w jego polityce iść nie chcieli. Polityka ta szła przeciw kościołowi i klerowi. Działał prawem i lewem. Był potężnym. Słabsi się uginali, inni uciekali. Życie każdego proboszcza na tej placówce było ciężkie. Aż objął ją niejaki ks. Kahl z rodziny niemieckiej, twardy, mocny i surowy. Na niego sposobu polityk nie znalazł. Aż oto rozeszła się po wsi wieść, że proboszcz, ten pogromca wszelkiej niemoralności, sam żyje niemoralnie i z dziewką ma dwoje dzieci. Dziewka przyświadczała. A trzeba wiedzieć, że według austrjackiej procedury mężczyzna, o ile kobieta pod przysięgą stwierdziła, że on jest ojcem jej dzieci, był bezbronny. Przysięga wystarczała sądowi. Na owe zaś czasy nie znaną jeszcze była próba krwi, jako dowód ostateczny, Bez dowodów też był i bez możności obrony ks. Kahl. W rezultacie dostał pomieszania zmysłów.

Ten wypadek Wyspiański znał, do GrębOSzowa często jeździł, zresztą sam podaje, że rzecz dzieje się w Grębоszowie. I byłby na tym koniec, i ludzie by się nigdy prawdy nie dowiedzieli, gdyby nie owe akta dekanalne. W protokóle pisze ks. Wilczkiewicz, że przerażona następstwami zgłasza się owa dziewka do niego i powiada, że przysięgła fałszywie, że dzieci ma z żandarmem, a ona fałszywie zeznała, podmówiona przez owego polityka.

— A czy przysięgniesz na to, co teraz mówisz? — Przysięgnę. — A podpiszesz? — Nie podpiszę, bo niemiałabym co we wsi robić. — Ks. Wilczkiewicz na to:—nie mam teraz czasu sprawą tą się zajmować. Przyjdź jutro.

Na następny dzień zaprosił do siebie dwóch świadków, zdaje się nauczyciela i kogoś drugiego, i umieścił ich w drugim pokoju. Gdy dziewka znowu na pytanie dziekana odpowiedziała, że przysięgnie, ale nie podpisze, wtedy dziekan zawołał tamtych z pokoju, mówiąc: — No to podpiszcie jako świadkowie.

Wyspiański więc znał gminną wersję. Widział tragedię, jednak nie znał jej istoty. Skąd wziął resztę akcesoriów, w które wypadek gręboszowski później ubrał?

Według Wyspiańskiego pożycie księdza z gospodynią, prawie, że na oczach całej wsi wywołuje u ludu zgorszenie, a potem przekonanie, że posucha gnębiąca okolicę jest pomstą Bożą za ten straszny grzech. Pustelnik żąda w imieniu gromady ofiary przebłagalnej „czaru deszczowegu". Ma stanąć poza wsią na plebańskich polach stos ofiarny i — jak się potem dopiero dowiadujemy —na tym stosie mają spłonąć płody rolne jako ofiara na przebłaganie Boga i sprowadzenie deszczu. O tym dowiaduje się i ksiądz i jego gospodyni i matka księdza. Ksiądz ma nieczyste sumienie i ono to wywołuje w nim nie chrześcijańskie, pogaństwem tchnące przekonanie, że jego kochanka z dziećmi zbawiona być nie może, że muszą być potępieni, chyba, że zdecydują się zrezygnować z dalszego życia na tym świecie. Wtedy jednak on zostanie potępiony. Myśli te mimowoli podsuwa on kochance. W rezultacie, gdy ksiądz odwozi matkę, kochanka decyduje się na ofiarę. Stos miał być dopiero jutro spalony. Młoda jednak zaraz, korzystając z nieobecności księdza, stroi siebie i dzieci w ofiarne białe szaty, stos podpala i dzieci weń rzuca, sama zaś oszalała z żagwią w ręku biegnie ku wsi, aby ją czy plebanię spalić. Chwilę przedtem nadjechał ksiądz, lecz nim się zorientował było za późno. Właśnie od stosu nadleciały trzy białe gołębie i usiadły na kalenicy, a ksiądz i ludzie domyślili się, że są to zbawione dusze ofiar. Tymczasem nadbiega oszalała, lecz ludność ją przed drzwiami plebanii kamienuje. Oto krótka treść.

Pomijając to, że tragedia nic zupełnie w sobie, poza zewnętrzną szatą, współczesnego a nawet chrześcijańskiego nie zawiera, że nie pojętym jest ksiądz, który wierzy w przeznaczenie, a nie w miłosierdzie Boże i pokutę, że z całej tej tragedii wygląda Sofokles i wiara w przeznaczenie, które mimo ludzkiej woli i rachuby pcha w nieszczęście, by się spełniło to, co się spełnić miało, — to interesuje nas pytanie, skąd Wyspiański zaczerpnął resztę motywów, których w wypadku gręboszowskim nie było. Skąd wziął ideę ofiary ogniowej?— Stos, a potem te trzy gołębie? Dlaczego trzy, gdy tylko dwoje dzieci się spaliło, dlaczego Wyspiański raz jeden o stosie wyraża się „piec"?

Odpowiedź na to znajduje się w opowieści zasłyszanej w Bieczu. W Bieczu Wyspiański razem z całą szkołą Matejki malował, rysował i z pewnością opowieść biecką słyszał.

Zbieram legendy, opowieści, bajdy, gadki z Biecza i okolicy od dawna skrupulatnie. Szukając nowych materiałów, odwiedzam starców i słucham ich opowieści.

Opowiada mi stara, blisko 90-cio letnia Jagielska z domu Lignarówna, mieszczanka „krzok z krzoka":

— Było raz w Bieczu, że pleban miał z gospodynią dwoje dzieci. Na św. Piotra, że to jest odpust i dużo się księży obcych zjeżdża, postanowiła się gospodyni wyspowiadać i spytać, czy może być zbawiona? Zdarzyło się tak cudownie, że poszła do spowiedzi do własnego plebana. Wzajemnie się nie poznali. Pleban na zadane mu pytania, czy może być zbawioną, odpowiedział: — Rzuć dzieci do rozpalonego pieca i sama do niego wskocz, bo pod tym tylko warunkiem zbawienia dostąpisz. Gospodyni zaraz poszła na plebanię i tak jak jej radził zrobiła. Po odpuście pleban idzie na plebanię i widzi na kominie trzy synogarlice. Wszedłszy dowiaduje się co zaszło i wtedy przypomina sobie swoją penitentkę. Na tym legenda biecka się kończy, zaś Jagielska dodaje: — Był w mojej rodzinie obraz Matki Boskiej z trzema synogarlicami u stóp, bardzo stareńki. Mało już co na nim znać było. Parę lat temu dałam go do fary na Przemienienie Pańskie. Obraz ten do tej legendy się odnosił.

Obrazu tego poszukiwałem wraz z profesorem lwowskiego Uniwersytetu, orientalistą dr. S. Stasiakiem, który mi właśnie na analogię legendy bieckiej z treścią „Klątwy" wskazał.

Obrazu tego niestety w okropnym bezładzie, jaki u fary na Przemienieniu Pańskim panuje, nie znalazłem. Może ta legenda nie jest specjalnie biecka, może do innych stron się odnosi, może legendę do obrazu dorobiono, jednak nią to Wyspiański treść gręboszowską uzupełnił.

Uderzają analogie. Ofiara ogniowa tu i tam. Wyspiański o piecu wiedział, jednak brzmiało to mniej nastrojowo; pomimo to raz mu się wyrażenie „piec" wyrwało. Tu synogarlice, tam gołębice. Jeno w legendzie Biecza są trzy synogarlice uzasadnione śmiercią trojga. Dlaczego u Wyspiańskiego trzy gołębice wylatują z ognia, gdy tam jeno się dwoje dzieci spaliło, a matka dopiero później ginie? Byłoby rzeczą ciekawą, czy znane są poza Bieczem obrazy Matki Boskiej z trzema synogarlicami i jaka legenda się z nimi wiąże?

Tragiedia Wyspiańskiego nie jest współczesną mimo pozorów. Jej treść mogła się zdarzyć np. w Biskupinie, ale przede wszystkiem w Argos, Orchomenos, czy Tyrynsie. Świadczy o tem i ukamienowanie, przecież ludowi naszemu zupełnie nieznane.

Wyrwało mi się powiedzenie o Biskupinie. I może nie jestem w błędzie, odnosząc legendę do czasów bardzo dawnych, bo gdy w kilkanaście dni z Jagielską nawiązałem rozmowę, pytając skąd obraz w ich rodzinie się znalazł, otrzymałem uderzającą odpowiedź, wypowiedzianą tonem wykluczającym wszelką wątpliwość lub chęć mistyfikacji: — A po wojnie tatarskiej. Tatarzy zburzyli farę, a mieszczanie potem obrazy i figury z pod gruzów odgrzebywali. I to jest jeden z nich. Obrazy te odgrzebane były po rodzinach: Przyczynków, Paszyńskich i innych. — A więc mowa o XIII wieku; jeno że wtedy celibat nie istniał. Jest to więc wspomnienie nie książkowe, lecz „żywe" wypadków z przed 700 lat.

Biecz WITOLD FUSEK

PRZEKŁADY Z HORACEGO

ROCZNICA (Carm, III 8)

Martiis caelebs quid agam Calendi·...

Pytasz co oto czynię—nieżonaty—
w dniu pierwszym marca? co znaczą te kwiaty
i te kadzidła i węgiel, co leży
na darni świeżej?

Mężu, co biegle mowy znasz obiedwie!
Bakchowi sprawiam ucztę, pełniąc śluby
za to, żem—drzewem przywalon—zaledwie
uniknął zguby!

Oto w ofierze kozieł padł już biały
przy uroczystej dnia tego rocznicy!
I korek zdejmę z amfory omszałej
w głębi piwnicy!

Za ocalenie druha, Mecenasie,
wnieś sto toastów! Niech pochodni blaski
płoną do świtu!... Precz od nas w tym czasie
gniewy i wrzaski!

O Rzym dziś nie miej trosk obywatelskich:
dziś Medów trapią rozterki domowe;
Daka Kotysa huf nieprzyjacielski
zbito na głowę!

Ów bicz Hiszpanii, Kantaber straszliwy,
ugiął się—przyszła w końcu nań niewola!
Scytowie —łuków zerwawszy cięciwy—
uchodzą z pola.

Wolny od trudów, nie czyń dziś skweresu [1])
Że przyszłość ześle na lud nową plagę...
Dary bieżącej chwili chwytaj wesół —
odrzuć powagę!

[1]) W dniu tym było święto mężatek, Matronalia.

DO OKRĘTU

Hej okręcie! Wypływasz
znowu na otchłań mórz?
Silnie trzymaj się portu!
Cóż ty zamyślasz, cóż?
Czyż doprawdy nie widzisz,
że twe burty—bez wioseł już?

Czyż nie widzisz, że maszt twój,
burzą zachwiany, pękł?
Czyż nie słyszysz, jak belki
głuchy wydają jęk?
Patrz, jak głębia zachłanna
kruszy słabe spojenia wręg!

W strzępach wiszą twe żagle!...
Brak ci i lin i rej!...
Jakich bogów zawezwiesz
w nowej niedoli swej?
Choć masz deski sosnowe
hen ze sławnych pontyjskich kniej,

Lecz daremną ci będzie
twego imienia cześć,
próżno świeżą swą farbą
pragniesz żeglarza zwieść;
zadrwi z ciebie wichura,
gdy cię będzie, jak piórko, nieść!

Dawniej brał mnie niepokój,
gdy odchodziłeś w dal,
dziś mnie troska ogarnia,
w sercu mi ciąży żal...
Strzeż się, strzeż się, okręcie,
Cyklad jasnych, egejskich fal!

POWRÓT PRZYJACIELA

O saepe mecum tempus in ultimum...

To ty, Pompeju? druhu najpierwszy mój,
co często ze mną w krwawy chodziłeś bój?
To ty?... Brutusa żołnierz dawny?
dziś już Kwiryta—i przybysz jawny?

I któż to ciebie przywiódł w ojczystą sień,
gdzie z tobą nieraz długi skracałem dzień?
Pamiętasz: wieńce te na skroniach —
włosy w wonnościach—i puhar w dłoniach?

Pamiętasz srogą pod Filipami rzeź —
gdy ja (o hańbo!) tarczę zgubiłem gdzieś?...
ten popłoch straszny, gdy zajadli
mężni rycerze na placu padli?...

Lecz mnie trwożnego chyży Merkury hen
w tumanie gęstym uniósł od owych scen...
Ty nadal wiodłeś żywot znojny
w szturmach nawałnic i wirach wojny...

Więc dań należną dziś Jowiszowi złóż,
po trudach wojen wreszcie odpocznij już
pod laurem moim... Dziś obwieszczę-ć:
ucztę wyprawiam! Więc wina nie szczędź!

By całkiem zatrzeć pamięć przeszłości złej,
napełniaj winem czarki!... wonności lej
z brzuchatych słojów.... Któż pobieży
wieńce z bylicy uwinąć świeżej?

A może z mirtu?... Dalejże, kości rzuć!
Kto będzie królem uczty?... Hej wara psuć
zabawę!... Muszę urznąć się jak bela,
bo odzyskałem dziś—przyjaciela!

Przełożył JÓZEF BIRKENMAJER

NA WIDOWNI

Społeczeństwo — człowiek — rodzina. — Koszary są dobre dla wojny.— Istotą życia jest tylko bojownik. — Kobieta nie jest „Kapuą”, ale tworzy cywilizację.

WSZELKIE sprawy społeczne zaczynają się od człowieka i nie sposób o tem nie pamiętać. Mówi się, że u podstawy społeczeństwa stoi rodzina — i to prawda. Ale przecież i tu musimy znowu się cofnąć do jednostki, bo rodzina — taka czy inna, zawsze jest tylko rozstrzygnięciem kwestii wzajemnego stosunku mężczyzny i kobiety.

Jest to więc problem społeczny pierwszorzędny i kwestia „kochania” nie będzie wobec tego, wbrew pozorom, nigdy sprawą czysto osobistą i zostawioną wolnemu zdaniu jednostki. Plątać się tu zawsze będą także tysiące innych czynników, bo człowiek żyje w społeczeństwie i zawsze musi myśleć społecznie. Ale z drugiej strony jest on zawsze sobą i nie potrafi myśleć wyłącznie społecznie, a w każdym razie nie potrafi żyć naprawdę po ludzku, myśląc wyłącznie społecznie.

Do zajęcia się tym właśnie tematem, tak bardzo stycznym z owymi kwestiami totalizmu o jakich niedawno pisałem — skłonił mię wiersz „Gęsie Anioły” T. Dworaka, znany czytelnikom z poprzedniego numeru „Myśli”. Jest to doskonała poetycka ilustracja tego, co autor pisał kiedyś o totalnym państwie narodowym. I powiem, że dla mnie w tym małym wierszu dużo więcej rzeczy i dużo lepiej i pełniej zostało wyrażonych, niż w owym długim artykule.

Chodzi bowiem o to, że u kolebki państwa totalnego leży pewne bardzo określone rozstrzygnięcie problemu płci i szczęścia osobistego. Tak właśnie, jak w wierszu Dworaka. Ramiona kobiety są tylko destrukcyjną Kapuą. Wszystkie „gęsi” powinny odlecieć na wyraj, lub czuwać nad ogniami Kapitolu. Turnieje, pazie i rycerze to niezdrowe i zamierzchłe historie.

Bardzo to wszystko po spartańsku i tylko koszarowe społeczeństwo powstać może, gdy kobietę uważa się za pokusę. Samotność męska stworzy albo bractwo żołnierskie, albo klasztor, ale nigdy cywilizację. I nie jest właśnie przypadkiem, że Sparta ma dziś swój urok dla nas tylko dlatego, że jej Termopile uzupełniają sobą obraz Grecji, wielkiej i pełnej słońca. A Grecji symbolem, po wsze czasy jest i będzie Akropolis ateński — a nie góry Tajgetu dzielnych Spartiatów.

I gdyby Sparta nie miała dla nas tego wspaniałego zaplecza filozofów, dramaturgów i poetów. Gdyby o niej nie pisał Herodot i gdyby isniał tylko Likurg bez Solona — to niewątpliwie dla nas ten świat i ten lud nie znaczyłby nic więcej, nad tak podobnie zorganizowane społeczeństwa Hunnów czy Awarów. Po Sparcie nie zostało nic, po za echem, — po Grecji — cały świat pojęć i bujne życie, które do dziś trwa.

Organizacja totalna, taka jaka była w Sparcie i która stanowi chorobliwe marzenie naszych czasów może być dobra tylko na krótkie czasy wojny. Ona wojną żyje i do wojny prowadzi. Ale wojna choć jest wiecznym towarzyszem człowieka, nie jest jednak ani treścią jego życia, ani normalnym życiem. Bo żywot człowieka nie jest wojną, ale bojowaniem, jak mówi ewangelia, a to jest całkiem co innego. I społeczeństwa uciekają się do wojny, marząc o pokoju.

Stąd też jest wykolejeniem życia, gdy organizacja właściwa co najwyżej tylko dla czasów wojny zostanie podniesiona do godności ideału i realizowana na wszelki wypadek — dla pogotowia. To zupełnie tak, jakby ktoś licząc się z możliwością choroby kładł się odrazu zdrowy do łużka. Ludzie nie mogą żyć stale w schronach gazowych i choć bojownikiem trzeba być zawsze, to żołnierzem tylko wtedy, kiedy pod broń powołają.

Ale najważniejsze jeszcze to, że fałszywe ideały fałszują życie. A prawda jak zawsze jest tylko jedna. I choć nieraz są rozmaite sposoby jej osiągania, to jednak i tu często są tylko sposoby jedyne. Mówi się więc zawsze, że u kolebki zdrowego społeczeństwa stoi — rodzina.

I tu wracamy do naszego problemu. Rodzina prawdziwa może być tylko jedna i jak świat światem lepszej jej formy nad tę, która istnieje, nie wynaleziono. Musi być ojciec, musi być matka. Musi być rozstrzygnięte wielkie zagadnienie dźwigania wspólnie życia w płaszczyźnie zasadniczej równości, choć różności zadań. Nie może więc nigdy być tego, by kobiebie dać miejsce nawiasowe. Tak może być tylko na wojnie, ale nie w życiu.

Stare przysłowie powiada, że „*inter arma silent musae*” i ma najświętszą rację. Bo czasy wojny nie są czasami kobiet, a nie darmo muzy sobie pod ich postaciami wyobrażamy. Literatura, sztuka, cała wogóle cywilizacja były tworzone dla kobiety. I mężczyzna tworzył naprawdę dzieła wielkie zazwyczaj tylko wtedy, gdy tworzył dla kobiety i to chociażby „gęsi“, która widziała w nim tylko swego pazia, rycerza, czy trubadura.

I nie trzeba wcale wpadać w platońską przesadę, że Eros stworzył świat. Bynajmniej. Ale istotną prawdziwą cywilizację tworzy i buduje zawsze tylko pełny człowiek. A znowu pełne człowieczeństwo to znalezienie jakiegoś zespolenia pierwiastka męskiego z kobiecym. Niedarmo olimpijczyk Goethe, za najdoskonalszy typ człowieka, za pewnego rodzaju pół-boga, uważał tego, kto to zrozumienie i to zespolenie osiągnąć zdołał.

I liczne wyjątki temu przeczyć nie mogą. Spartańskie wyrzeczenie się dla wojny—heroiczny typ żołnierza i klasztorne wyrzeczenie się dla Boga nigdy regułami być nie mogą. Bóg realizuje się przede wszystkim w świecie — a pokój jednak jest częstszy od wojny. I w normalnym porządku świata ramiona kobiety jednak nie są Kapuą, ale równie dobrze drogą do wysokości. A o normalnych warunkach przede wszystkim pamiętać trzeba.

No i na zakończenie, kobieta była, jest i będzie po prawieki uosobieniem sił trwania i rzeczywistości. To jakby sam byt. Twarda skała, o którą się zawsze rozbiją chimeryczne, choć najmocniejsze męskie fale. Stanowczo stoi ona bliżej sensu życia i poniekąd to życie bardziej od mężczyzny prowadzi. To też nad wyraz głębokie i mądre są te słowa Trentowskiego, że kobieta „jest rzeczywiście aniołem stróżem!” A jeszcze mądrzejszą ta rada dla fantastów: „Niechaj więc

umny młodzieniec ogniem miłości zagorzeje i ujrzy w jakiej urodziwej dziewicy świat swych ideałów. Ten żywy jego ideał rozpędzi w nim zwolna wszystkie ideały trupie i przyprowadzi go do rozsądku! Jest to ideał przeciw ideałom! Kobieta opłącze najłatwiej zapaleńca w swe więcierze i wyciągnie go jak rybę z morskich topieli na brzeg rzeczywistości!"

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

BIERNOŚĆ INTELIGENCJI

Z wielu stron dają się słyszeć utyskiwania na bierność inteligencji wobec spraw społecznych i politycznych. Bierność tę można objaśnić warunkami życia naszego. Przed wojną w walce z zaborcą inteligencja bez różnicy przekonań brała bardzo liczny udział.

Młode pokolenie nie może mieć pojęcia, ile wysiłków i nerwów trzeba było zużyć na przeprowadzenie bojkotu towarzyskiego Rosjan i nawet na tak błahe zdawałoby się rzeczy, jak zmienienie zewnętrznego wyglądu miast, szczególniej w gub. suwalskiej, gdzie obowiązywały dekrety Murawiewa, mianowicie, żeby dorożkarze mogli porzucić ubiór i uprząż rosyjskie, żeby szyldy i ogłoszenia mogły być w dwóch językach i żeby z kościoła usunąć w dni galowe hymn „Boże cesarza chroń" wykonywany po rosyjsku przez gimnazistów.

Z jakim narażeniem trzeba było przechowywać i kolportować „Polaka" i inne pisma nielegalne, prowadzić tajne szkoły i tworzyć konspiracyjne związki pośród włościan, robotników i rzemieślników.

Praca ta wydała dobre owoce, umożliwiła przeprowadzenie strajku szkolnego i uzyskania pewnych ustępstw dla języka polskiego w urzędach i sądach gminnych, włościanie zaś i robotnicy niszczeni i zamknięci w więzieniu z godnością ponieśli swą ciężką ofiarę, rozumiejąc, że ojczyzny nie można odzyskać bez poświęceń.

Po wojnie Japońskiej, gdy uzyskano chociaż minimalną swobodę, zaczęto zakładać polskie szkoły prywatne, Macierz, instytucje finansowe, biblioteki i pisma prowincjonalne. W okresie wojny w kraju i na emigracji, brano czynny udział w instytucjach filantropijnych i organizacji siły zbrojnej.

Radość z odzyskania niepodległości zmrożona została przez utworzenie gabinetu Moraczewskiego i wywieszenie chorągwi czerwonej zamiast o barwach narodowych. Ciężkie chwile przeżyliśmy, gdy w wojnie z bolszewikami o mało nie straciliśmy wolności.

Znany jest stan rzeczy późniejszy — spadek siły twórczej i odpornej, rozbicie społeczeństwa polskiego, brak wspólnego języka między rządem i społeczeństwem, niezdolność do akcji jednolitej wobec rosnącej grozy niebezpieczeństwa, brak wspólnej woli kierowniczej, brak idei.

Zorganizowanymi zostali w Polsce tylko żydzi i ukraińcy. Czy można więc się dziwić, że inteligencję ogarnęła apatia i niechęć do wszelkiej pracy społecznej, a jaki ból ogarnął pracowników narodowych, gdy w sejmie minister Raczkiewicz przy oklaskach nazwał ich takimi samymi wrogami Polski jak komuniści.

Inteligencja winna ocknąć się z apatii, zrozumieć, jak groźne położenie jest w Polsce i z tą samą energią i ofiarnością jak przed wojną wziąć udział w pracy narodowej wspólnie z młodzieżą, ludem wiejskim i robotniczym.

Opierając się na swej wiedzy i doświadczeniu musi opracować ustrój Polski polityczny i gospodarczy, w którym każdy Polak miałby możność pracy i egzystencji, w którym prawo panowałoby nad siłą, w którym kwalifikacją dla zajmowania urzędów byłaby wartość moralne i duchowa, a nie nepotyzm i w którym nie tolerowanoby niesprawiedliwości i nadużyć.

W tym celu powinniśmy podporządkować swoje ambicje dobru Ojczyzny, nie rozpraszać się a skupiać, bo w jedności jest tylko siła.

G. Z.

UBÓSTWO NASZYCH MIAST

Drobny przyczynek do obrazu, jak wyglądają nasze miasta wyniszczone przez żydów, znajdujemy w drobnych notatkach „Kuriera Warsz." (z 21.I).

Oto jak wygląda szkolnictwo powszechne, a cóż dopiero średnie:

Inspektorzy Związku rewizyjnego samorządu terytorialnego zbadali zagadnienie oświaty i kultury w 44 miastach Polski (z wyjątkiem Warszawy i miast woj. śląskiego).

Obraz stanu szkolnictwa w miastach jest b. smutny. Wiele miast nie może wywiązać się należycie z obowiązków w zakresie szkolnictwa powszechnego. W 11 miastach stosunkowo znaczna liczba dzieci nie znajduje pomieszczenia w szkołach. We Lwowie jest 1,000 dzieci poza szkołą, w Częstochowie 6,000 dzieci, w Białymstoku 600, w Brześciu 900 dzieci.

W mniejszych miastach najgorzej jest na kresach wschodnich. W Kowlu jest bez szkoły 500 dzieci, w Równem 1,000, w Pińsku 300, w Łucku 500 dzieci.

Lokale szkolne w większości miast są fatalne w budynkach wynajmowanych. Komorne pochłania nieraz od 30—50% wydatków, przeznaczonych na szkolnictwo. W Gdyni stwierdzono, że w jednej klasie uczy się 85 dzieci, gdy najwyższa norma, ustalona przez Ministerstwo Oświaty wynosi 60 dzieci w klasie. Nieraz w ławkach 2-osobowych musi siedzieć po troje dzieci, a nauka odbywa się na dwie lub trzy zmiany.

Jedno z miast wybudowało w śródmieściu pałac szkolny kosztem miliona złotych, gdy inne szkoły mieściły się w lokalach urągających wszelkim pojęciom o hygienie szkolnej.

Poza miastami, które nie mogą wykonać obowiązku w dziedzinie szkolnictwa powszechnego—są inne, które cały budżet oświatowy wydają na szkolnictwo powszechne, np. Ostrowiec—92%, Zawiercie—95%, Chełm lubelski—93%, Suwałki—92%, Łomża—90%, Rzeszów—91%, Drohobycz—93%, Kołomyja — 95%, nie pozostawiając nic na przedszkola, szkolnictwo średnie, zawodowe, dokształcające, stypendia subwencje itd.

ZAŻYDZONE RADIO

Na sobotnim posiedzeniu sejmowej komisji budżetowej rozpatrywano budżet Min. Poczt i Tel. Podczas dyskusji pos. Budzyński poddał surowej i rzeczowej krytyce działalność Polskiego Radia, mówiąc między innymi:

Po co pojechała do Paryża orkiestra złożona ze 100 osób, w czym połowę doangażowano *ad hoc?* Na dyrygenta znalazł się p. Fitelberg, który nie jest żadnym Toscaninim. Tam, gdzie w grę nie wchodzi najwyższa klasa artystyczna, mówca jest przeciwnikiem angażowania ludzi o podwójnej

narodowości. Przemycanie żydów do Radia jest tak sprytne, że nawet kierownicy tej instytucji nie zdają sobie z niego sprawy. Mamy np. w Polsce wielu pianistów wysokiej klasy jak Niedzielski, Sztompka, Rabcewiczowa, Wojtowicz, Turczyński, Małcużyński, Szpinalski i inni. Jest i druga lista: Hermelin, Rozenbaum, Fajwel, Geistówna, Etkin, Balsam, Landau, Neumann, Fajnbesser itd. itd. W Polskim Radio występy tej drugiej grupy mają poprostu miażdżącą przewagę, aczkolwiek klasa ich jest znacznie niższa od pierwszych. To samo z płytami. Ile razy w ubiegłym roku słyszeliśmy w Radio z płyt Paderewskiego, Hofmana, czy Bandrowską-Turską? Wszystkiego trzy razy, natomiast bez liku było produkcji rozmaitych średniaków o nazwiskach żydowskich.

W ostatecznym wniosku żądał pos. Budzyński odżydzenia tej, tak wpływowej, dzierżącej w ręku olbrzymie środki propagandowe instytucji.

W jednym z tygodników poruszono niedawno sprawę t. zw. „poziomu", do którego prasa inspirowana przez żydów odmawia wszelkich praw twórcom nie należącym do *ghetta* partyjnego. Oto jednak przesącza się w coraz szersze koła świadomość, że trzeba się spod terroru wyzwolić w imię właśnie poziomu artystycznego i bezinteresownego charakteru sztuki.

Z OBCEGO ŚWIATA

DWIE DEMAGOGIE

HISTORIA wydarzeń, związanych z ostatniem przesileniem gabinetowem we Francji jest bardzo pouczająca. W świetle tych wypadków łatwo dostrzec, jak słabym oparciem dla sprawowania władzy nad narodem stał się parlamentaryzm typu demokratycznego.

Motorem systemu parlamentarnego w jego najczystszej formie jest demagogia. Konieczność licytacji wobec faktu wyborów, gromadzenie kapitału żądz niespełnionych dla tym większej podstawy do rzucania obietnic celem zdobywania kartek wyborców, stwarzają sytuacje groźne dla bytu państwa, sytuacje nad wyraz kosztowne, stawiające kierownictwo nawy państwowej w sytuacji bez wyjścia. Oto demoralizujące skutki demokracji.

Prawda — systemom rządów zdecydowanie narodowych nie można nie zarzucić również demagogii, lecz jest to demagogia twórcza, budująca. Demagogia żądająca od mas wysiłku, ofiarności w imię ambicji narodu. Genialny demagog Mussolini rzucił w czasie wojny abisyńskiej hasło przeciwstawiania się sankcjom. Urzeczywistnienie tego hasła osiągano przez wyrzeczenia. — I oto wszyscy stwierdzają — nic tak nie zespoliło Włochów z faszyzmem, jak właśnie ten moment. Radosna chwila ogłoszenia imperium była już tylko nagrodą.

Demagogia demokracji podniecająca apetyty natury przyziemnej w imię „ideału" dosytu materjalnego prowadzi do katastrofy poprzez coraz to nowe stadia nienasyceń, demagogia narodowego systemu podniecająca ambicje, tak bardzo ludzka przez swą istotę — dbałość o ducha, daje zadowolenie, kształci, prowadzi do wielkości.

LOSY MAŁEJ ENTENTY

CZY RUMUNIA zachowa swą dotychczasową linię w polityce zagranicznej?— oto pytanie jakie poczęto sobie powszechnie zadawać, gdy nadeszła wiadomość o dokonanej w Bukareszcie zmianie gabinetu, równej głębokiemu ideowemu przewrotowi.

Sugestie rodem z lóż insynuowały nacjonalizmowi rumuńskiemu wpływ nacjonalizmu niemieckiego, lecz kłamstwem na dłuższą metę operować się nie da. Nawet znak swastyki noszony przez ministrów ojca i syna Cuzów nie stanowi żadnego dowodu, używa go bowiem partia chrześcijańsko-narodowa od roku 1910-go.

Czy uda się utrzymać blok Małej Ententy?

Utworzony został kiedyś jako przejaw ekspansji i prężności polityki francuskiej. Kierowany za pomocą kontaktów, oraz karności masońskiej działał wcale sprawnie. Przyczynił się do chwilowego zabłyśnięcia Czechosłowacji, która skwapliwie schwyciła za pierwsze skrzypce w tym zespole.

Czasy ostatnie pomniejszyły znaczenie Małej Ententy, a główną przyczyną było zaniedbanie spraw zagranicznych przez coraz to bardziej lewicowe rządy francuskie oraz uaktywnienie się innych ośrodków inicjatywy, czego najlepszym przykładem jest Rzym. Wprawdzie Czechosłowacja jest po dawnemu wielka, Czechosłowacja jednak stanowi tylko cząstkę.

Największe obawy o los zanikającego już jednak zespołu Małej Ententy płynąć mogą ze strony Jugosławii. Do najświetniejszych posunięć Mussoliniego zaliczyć trzeba bezwzględnie umiejętność nie tylko załagodzenia sporów z Białogrodem, ale i uzgodnienie z nim wspólnej linii postępowania. Akurat przed przyjazdem tam min. Delbosa, min. Stojadinowicz pojechał do Rzymu. W dniach ostatnich po odwiedzinach min. Micesu, pojechał z kurtuazyjną oczywiście wizytą do Berlina.

Dyskusje na temat, czy wobec nowych układów sił w Europie ma sens istnienie bloku Małej Ententy, należałyby do dyskusji nieco jałowych. Przeciwstawianie się rozrostowi ekspansji wpływów niemieckich jest słuszne. Czerpanie zaś natchnień z Paryża, dzisiejszego Paryża, zbyt ryzykowne dla suwerenności niektórych państw i dla ich stosunków wewnętrznych. Mała Ententa pozbawiona nieoficjalnego protektora i kierownika, jakim jest Francja, długo w tym składzie nie pozostanie. Życie, nieubłagane życie idzie przeciw lożom, przeciw ich pomysłom, koncepcjom oraz tradycjom.

NAUKA I LITERATURA

POLONICA W CZECHOSŁOWACJI

W TRZECIM kwartale ukazał się w dwu zeszytach „Myśli Narodowej" ciekawy i wyczerpujący przegląd zainteresowań czechosłowackich sprawami kultury polskiej. Zainteresowanie Czechów i Słowaków literaturą naszą jest duże, liczba przekładów utworów polskich na ich język wprost imponująca. P. Lumir, autor tego ciekawego bilansu, nad którym należałoby się w Polsce poważnie zastanowić, w pewnym miejscu swego artykułu zauważa: „Na łamach po niemiecku wydawanego dziennika czeskiego „*Prager Presse*" red. A. Mágr od długiego szeregu lat pilnie referuje o każdej ważniejszej publikacji polskiej lub wydarzeniu w życiu kulturalnem, a niemal połowa głosów o polskich sprawach kulturalnych, które pojawiają się w prasie europejskiej, czerpie swe źródło właśnie z... „*Prager Presse*",

Zarówno p. Mágr jakoteż i „*Prager Presse*", w którym redaguje on dział literacki, są pozycjami o wielkim zasięgu i znaczeniu. Chociażby to powinno być powodem większe-

go zainteresowania zarówno pismem jak i jego literackim kierownikiem. A cóż dopiero, jeśli dodamy, że p. Mágr jest szczerze Polsce życzliwy i *polonicom* poświęca w swem piśmie tyle uwagi i miejsca jak rzadko kto.

W roku bież. p. Mágr obchodził 50-tą rocznicę swoich urodzin i z tej też racji grono przyjaciół wydało piękną książeczkę (*A. St. Mágrowi k padesatym narozeninám 6 dubna 1937, wydal kruh prátel v Praze* 1937, str. 58).

Mágr zainicjował i stworzył w dzienniku *„Prager Presse"* niebylejaką rubrykę: przegląd spraw kulturalnych Słowiańszczyzny. Najwięcej miejsca poświęcał Polsce i Jugosławii. W latach ostatnich, wskutek spraw natury ogólniejszej z zakresu polityki, Mágr więcej uwagi poświęca literaturze jugosłowiańskiej. Z polskiego punktu widzenia, a nawet ze stanowiska czeskiego powiedzieć można, szkoda• że tak się stało.

Z książeczki poświęconej Mágrowi, dowiadujemy się że inspirował on przekłady na język czeski: Żeromskiego, Kasprowicza, Tetmajera, Reymonta, Konopnicką, Bandrowskiego, Przybyszewskiego, Wiktora, Zegadłowicza.

Przeglądając na końcu książeczki spis ważniejszych artykułów Mágra, poświęconych kulturalnym sprawom Słowiańszczyzny, łatwo dostrzec, że każdy objaw z naszego życia był przez Mágra dostrzeżony i omówiony.

Slawistyka w dzienniku, uprawiana systematycznie, to nie byle co, a zwróćmy uwagę, że miejsce naczelne tej slawistyce zajmują *polonica*, to jest — zajmowały jeszcze przed kilku laty. Miejmy nadzieję, że gdy zmienią się złe flukty polityczne, p. Mágr — który oby dożył stu lat! — z równą gorliwością będzie uprawiał polonistykę, jak uprawiał ją do niedawna.

Podkreślmy jednak przy okazji, że musi obowiązywać zasada wzajemności. Rzeczą konieczną, już nie z powodu rewanżu, lecz dlatego, że powinniśmy wiedzieć, co się dzieje u bratniego narodu za granicą zachodnią, jest informowanie w prasie o życiu kulturalnem w Czechosłowacji. Bo to, co się dotychczas pisze, to prawie nic. Jeśli dzienniki nie znajdują na to miejsca, to czasopisma nasze powinny zająć się wogóle sprawami kultury Czechosłowacji jakoteż i Słowian południowych. W.—T.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Pierwszy numer miesięcznika „W i e ś i p a ń s t w o" wyszedł w styczniu; pismo jest poświęcone sprawom wsi. Redakcję stanowią: prof. dr Franciszek Bujak, Doc. dr. Stefan Inglot, i Doc. dr. Wincenty Styś. Pismo wychodzi nakładem Spółdzielni wydawniczej „Wieś" we Lwowie ul. 3-go maja l. 11. Radę nadzorczą tej spółdzielni w piśmie reprezentują Antoni Lewak, Adam Gruca i Antoni Kolarz.

Artykuł wstępny od wydawnictwa mówi o potrzebie takiego czasopisma i o jego celach:

„Nie wywieszamy żadnego sztandaru politycznego. Chcemy pracować dla dobra wsi i drobnego rolnictwa, a przez to dla dobra państwa i narodu...

Pismo nasze będzie poświęcone tworzeniu i uzasadnianiu programu wsi polskiej we wszystkich kierunkach oraz obmyślaniu metod pracy nad rozwojem wsi."

Znaczenie programowe ma również artykuł prof. Franciszka Bujaka „Wieś i państwo". Daje zarys historii wsi polskiej i określa wartość i stanowisko wsi w życiu państwa, kończy wnioskiem, że Polska jest i długo jeszcze będzie państwem chłopskim" i że wraz z rozszerzaniem się oświaty na wsi wzrasta potrzeba dania ludności wiejskiej wpływu na sprawy państwowe.

Dr Inglot pisze o reformach rolnych w dawnej Polsce. Dr Styś w artykule „Rolnictwo a uprzemysłowienie" pisze o warunkach przyrodniczych i społecznych naszego przemysłu, którego szybkie rozwinięcie jest dla wsi sprawą konieczną.

Kostołowski Erazm robi Bilans „Rozdroża" M. Dąbrowskiej, streszcza tezy tej książki i dyskusję, jaką wywołała, w rezultacie wypowiada się o „Rozdrożu" z całkowitą sympatią.

Dalej piszą: Eugeniusz Garbacik o rozwoju duńskich uniwersytetów ludowych, Zamorski Jan o warunkach działalności ks. Stojałowskiego (spowodu książki Fr. Kąckiego o ks. Stojałowskim). Następuje kronika („Po chłopskim strajku"), recenzje, bibliografia.

Czasopismo jest wysoce pożyteczne; jego powagę i naukowość gwarantują znane dobrze w nauce polskiej nazwiska członków redakcji. Pewne zastrzeżenia budzić musi jednakże orientacja polityczna pisma. Redakcja niewątpliwie zdaje sobie sprawę, że pośredników, stręczycieli i przyjaciół wieś polska miała już dużo. Mamy nadzieję, że ci jej synowie, których pochodzenie, przekonanie i rozum wysuwa na czoło dążeń wsi — zorientują się, jaką wartość dla wsi przedstawia przyjaźń ludzi o psychice 19-wiecznego demoliberalizmu—i jaką przyszłość dla ludu chowa w zanadrzu folksfrontowiec i socjalista, wyciągający rękę do chłopa. Czy więc warto dla takiej perspektywy przemilczać sprawę żydowską i nadawać ruchowi cechę klasowości?

Odpowiedź na te i tym podobne zagadnienia winny przynieść dalsze numery miesięcznika "Wieś i państwo". (td.)

ZMARLI

Ś. P. BOLESŁAW KOSKOWSKI

WDNIU 23 bm. zmarł w Warszawie śp. Bolesław Koskowski, długoletni redaktor polityczny „Kuriera Warszawskiego". Śmierć jego zrobiła duży wyłom w polskiej publicystyce. Mało mamy w dziennikarstwie umysłów politycznych kwalifikowanych do dyskutowania o zagadnieniach międzynarodowych w związku z najbliższymi troskami polityki polskiej.

Pracował jako dziennikarz i publicysta bez mała lat pięćdziesiąt, jeśli liczyć pierwsze jego wystąpienia jeszcze szkolne w r. 1889 na łamach „Gazety Lubelskiej", Była to praca nieprzerywana, wierna podstawowym nakazom patriotyzmu, praca z przekonania i umiłowań, praca ambitna, doskonaląca się zasobami wiedzy i talentu. W śp. Koskowskim mieliśmy żywy łącznik między datą dzisiejszą a tymi laty, kiedy szukało się po ciemku dróg do Polski niepodległej.

Gdy był jeszcze w szkołach, szły już po kraju do najgłębszych zakątków prowincjonalnych prądy umysłowe odradzające ducha polskiego. Dał się im porwać, choć sposobił się do zawodu na dalekim od pisarstwa polu. Spełnił się w nim we wczesnej młodości moment przełomu dwu okresów umysłowości — pozytywizmu i nacjonalizmu. Zaczął jako pisarz w organie pozytywistów „Przeglądzie Tygodniowym", ustalił zaś swój kierunek w narodowym „Głosie".

Urodzony (20 maja 1870 r.) w Tyszowcach znał dobrze ziemię lubelską, choćby dlatego, że w trzech miastach (Zamościu, Lublinie i Chełmie) wypadło mu forsować szkołę średnią. Znalazłszy się na studiach w Warszawie (1891 —1893) ofiarował swoją wiedzę krajoznawczą „Przeglądowi Tygodniowemu". Adam Wiślicki wydawał był wówczas „Dodatek Miesięczny ilustrowany". W półroczu drugim z r. 1892 znajdujemy tutaj opracowany przez Koskowskiego powiat Hrubieszowski (na 21 dużych stronach). Robił te studia widocznie z upodobaniem i programowo. W roczniku 1895 zamieścił opis pow. Biłgorajskiego. To był już piąty i ostatni powiat.

W r. 1895, kiedy wznawiałem wydawanie „Głosu", poznałem się ze śp. Koskowskim i wciągnąłem go do współpracownictwa. Pracując odtąd z nim stale do końca r. 1899, miałem sposobność poznać go bliżej i nawiązać trwały stosunek przyjaźni osobistej.

W „Głosie" rozpoczęliśmy pracę w październiku 1895. W nr. 4 i 5 Koskowski zamieścił ob-

szerną pracę o drobnym przemyśle, opartą w znacznej mierze na materiale z lubelszczyzny. Były to czasy złotodajne dla idei narodowej. Każdy motyw, dobyty przez obserwację stosunków rodzimych stawał się drogocenny. Odbywało się w sposobie odkryć rewelacyjnych poznawanie kraju i właściwości ludowych, kwitła etnografia i krajoznawstwo. W „Głosie" od r. od r, 1887 do najważniejszych rubryk należały korespondencje z prowincji. Tak z ideą pracy organicznej pozytywizmu wiązały się uczucia narodowe.

Roczniki „Głosu" 1895—1899 zawierają wiele artykułów Koskowskiego, bądź podpisanych, bądź znaczonych literami „Ko". Do stałych współpracowników należeli wtedy, prócz niego, Wł. Jabłonowski, St. Karpiński, Ludwik Włodek, Jan Stecki.

Wydawaliśmy też książki. W ciągu tych kilku lat w biblioteczce „Głosu" znalazły się takie dzieła, pt. Tylora „Cywilizacja pierwotna w 2 t., Seignobosa „Dzieje polityczne Europy", Hobsona „Rozwój kapitalizmu współczesnego". Znalazły się też tutaj publikacje współpracowników: dr. Bol. Jakimiaka *(Nosocomialis)* „Potrzeby szpitalnictwa warszawskiego", Stan. Karpińskiego „Zasady działalności banków", oraz Bol. Koskowskiego „Finlandia". Koskowski spopularyzował jedno z dzieł rosyjskich o Finlandii, chodziło nam bowiem o budzenie sympatii do tego kraju podbitego przez Rosję.

Po zamknięciu „Głosu" Koskowski zajął stanowisko sekretarza redakcji „Gazety Polskiej" (przy Gadomskim). W r. 1905 został redaktorem „Gońca", organu stronnictwa Dem. Narodowego. Wkrótce jednak przeszedł do „Kuriera Warszawskiego". Wysłany przez ten dziennik w charakterze korespondenta do Berlina, a potem na szereg lat do Petersburga, miał sposobność zaznajomić się z arkanami życia politycznego na szerokim świecie.

W r. 1911 uzyskał w Brukseli doktorat na podstawie rozprawy „*La question agraire au Royaume de Pologne*". Zainteresowania ekonomiczno-gospodarcze kultywował od młodości, przewagę jednak w miarę lat brały sprawy polityczne. Swiadczą o tym tytuły prac ogłoszonych: „Gmina wiejska" (1899), „O reformie gruntowej" (1905), „Jak wychowywać demokrację" (1906), „Niebezpieczeństwo niemieckie" (1907), „Polityka gminna" (1907), „Ostatni rozbiór Turcji" (1915), „Chcecie rozwoju czy przewrotu" (1929), „Wczorajsi", (1934).

Od szeregu lat niestrudzenie kilka razy na tydzień opisywał w „Kurierze Warszawskim" artykuły wstępne, tyczące przeważnie polityki zagranicznej, wytrwale broniąc zasad demokratyzmu liberalnego wobec niebezpieczeństw ze strony nacjonalizmu („faszyzmu"). Ostatni urtykuł ukazał się 13 stycznia rb., zatytułowany „Konieczny komentarz do mowy min. Becka, wygłoszonej w komisji sejmowej.

W czasie wojny ś. p. Koskowski pozostawał w Warszawie i tu należał do grona czynnych kierowników Koła Międzypartyjnego. W latach 1916—17 był członkiem Rady Miejskiej w Warszawie. W r. 1922 otrzymał z wyborów mandat do Senatu Rzpltej.

Tyle o pisarzu i człowieku publicznym. O życiu osobistym ś. p. Koskowskiego dodać należy, że ożeniony był ze Stefanią Gogolewską, córką rejenta z Piotrkowa. Pożycie w tym związku było najjaśniejszą kartą w jego życiu. Smierć żony przed paru laty była dla niego ciosem, który go duchowo i fizycznie nadłamał. Zmarli bezdzietnie. S. p. Koskowski był rodzonym bratem znanego i powszechnie poważanego prof. Uniw. Warszawskiego Bronisława Koskowskiego, szwagrem zaś b. Dyr. Biblioteki Narodowej Stefana Dembego.

W ś. p. Koskowskim tracimy utalentowanego pisarza i wybitnego przedstawiciela zawodu dziennikarskiego, wiernie oddanego służbie publicznej, nieskalanego prywatą. Dość znaczne różnice w poglądach politycznych od r. 1911 oddalały go od nas, nigdy jednak na taką odległość, abyśmy tracili z oczu jego zalety, jako człowieka i pisarza.

Ogarniając w tej żałobnej chwili całość żywota strudzonego pracą pisarza i obywatela, żegnamy go z żalem. Niech spoczywa w pokoju!

Z. W.

FILM

BAŁTYK: „Towarzysze broni" (*La grande illusion)* reż. J. Renoir, film francuski.

Znakomity film. Gdy się porówna z nim nawet niezłe utwory produkcji amerykańskiej, widzi się, jak bardzo Ameryka tkwi w szablonach, jak często posługuje się tymsamym szematem, ograniczając się jedynie do zmiany figur - aktorów.

Renoir unika jak ognia wytartych liczmanów patosu i sentymentalizmu. Zadziwia u niego wstrzemięźliwość stylu, wolna od pietyzmów, niechęć wobec estetyzacji nawet w najlepszym gatunku. By lepiej wytłumaczyć, co mam na myśli, posłużę się przykładem z literatury. Zestawmy Żeromskiego z Dąbrowską. Żeromski umiał pięknie pisać i w jego powieściach znajdujemy dużo takich popisowych „kawałków", w których pisarz, jak tokujący głuszec, upaja się pięknem własnego śpiewu. Porównywując z nim, Dąbrowskiej „Noce i dnie", widzimy, jak ona „trzyma się w cuglach", jak się wystrzega wszelkich liryzmów.

Renoir opowiada w sposób rzeczowy i realistyczny, rodzaj jego narracji filmowej, na pierwszy rzut oka, niczem się nie wyróżnia i mało jest efektowny; dopiero przy wnikliwszej obserwacji dostrzega się doskonałość dyskretnej tej roboty. Operując umiejętnie kontrastami, potęguje wymowność wielu scen. Jego styl zwarty, skupiony i męski dobrze odpowiada treści filmu, obrazującej właśnie życie mężczyzn, jeńców - oficerów, różnych narodowości w obozie koncentracyjnym w Niemczech. Życie to nie pozbawione jest momentów rubasznej, żołnierskiej wesołości, sięga też progów, za którymi czai się niesamowitość (obraz oficera, grającego na piszczałce, w czasie wędrówki po krużgankach zamku).

Należy także podkreślić dobór plenerów, pejzaży wymownych wyszukaną prostotą ubóstwa. Mają one nieco odmienny ton od stylu opowieści, gdyż swą nastrojowością wkraczają w *genre* t. zw. „nowej rzeczowości" (*die nene Sachlichkeit).*

Nie możemy pominąć milczeniem i strony ideowej filmu. Zarzuca się mu pewne tendencje pacyfistyczne. Dżentelmeneria stosunków w obozie, między niedawnymi wrogami z frontu, jest może nazbyt wyidealizowana. Lecz męskie traktowanie sprawy obowiązków żołnierza pozwala filmowi zachować równowagę. Nie można mu zarzucić propagandy mazgajstwa.

Inteligencję i takt reżysera widać również w zakończeniu. Gdy rozkwita miłość między francuzem, uciekinierem z obozu, a młodą Niemką — reżyser nie każe mu zostawać i żenić się. Francuz odchodzi i niby to ma wrócić (tak powiada) po ukończeniu wojny. Ale my wierzymy, że nie wróci. I tak być powinno.

STUDIO: „Zdrajca", reż. Karol Ritter, film niemiecki.

Film opisujący krecią robotę obcego wywiadu w kraju, stworzony pod hasłem: „Uwaga! Wróg podsłuchuje". Ze względu na swe wartości dydaktyczne, polecony przez M. S. Wojsk. Pozatem można mu przyznać także niepośledni walory artystyczne. Staranne opracowanie całości, znakomita fotografia, dobre komponowanie treści plastycznej w prostokącie ekranu, wiele nader udatnych wiązań montażowych i szereg scen szczęśliwie pomyślanych (np. ucieczka zdrajcy poprzez gąszcz maszyn w fabryce) — oto szereg zalet, wyrażonych właściwym filmowi językiem. Przesłaniają one niezupełnie gładki rozwój fabuły.

KANDYD

O „MYŚLI NARODOWEJ”

W NAJSTARSZYM ORGANIE Wileńszczyzny, bo liczącym już 22 lata istnienia i bardzo dla tej połaci kraju zasłużonym, — „w Dzienniku Wileńskim” ukazał się 18 stycznia początek zarysu literackiego, mającego za przedmiot „Myśl Narodową”. Mamy przed sobą już sześć odcinków tego interesującego fejletonu; nie czekając jednak na zakończenie pragniemy pochlubić się tym dowodem uznania dla pisma rzadko w prasie spotykanym. Tem głębiej ujmuje nas za serce ten upominek, że składa go wybitny i zasłużony historyk literatury i publicysta, prof. Stanisław Cywiński, któremu na łamach „Myśli Narodowej” niejednokrotnie sprawiliśmy przykrość, drukując niezgodne z jego przekonaniami poglądy na Norwida. To nawet stało się powodem przerwanych z „Myślą Narodową” stosunków.

Prof. Cywiński zbierał od r. 1925 roczniki naszego pisma, a teraz po 12 latach przegląda je po kolei, cytując niektóre ustępy w celu scharakteryzowania drogi przez pismo przebytej. Nie brak też gorzkich uwag, dla nas jednak cenne jest już samo zainteresowanie, tymbardziej każde wskazanie krytyczne.

Po wstępnych rozważaniach na temat współczesnej prasy polskiej, prof. Cywiński tak o „Myśli Narodowej” pisze:

„Do najciekawszych i najlepiej w Polsce redagowanych tygodników polityczno-kulturalnych należy „Myśl Narodowa”, pozostająca od lat 14 pod kierunkiem znakomitego publicysty i pisarza, Zygmunta Wasilewskiego. 7800 dwuszpaltowych stronic tego pisma, w formie *in quarto* — to przeszło 100 tomów przeciętnej książki w szesnastce po 300 str. Rzecz jasna, nie wszystko stoi tu na równym poziomie i znaczna część tego materiału już się przeżyła, ale obok tego mnóstwo artykułów, drukowanych w Myśli Narodowej po dziś dzień nie straciło na wartości.

Skąd to pochodzi? Oto stąd przedewszystkiem, że treść tych trzynastu roczników stanowi całość, konsekwentną zwłaszcza w zakresie politycznym. Rozstrzyga bowiem w „Myśli Narodowej” nie talent redaktora, nie jego indywidualne zapatrywania, tembardziej zaś nie t. zw. gust publiczności i zmienne fiukta polityki bieżącej, ale świadomie wytknięta linia rozwojowa wielkiego kierunku narodowej polityki, ulegająca tylko nieznacznym wahaniom i odchyleniom, zależnie od konkretnych warunków narodowego bytu, który przecież bardzo powoli się zmienia.

Nie tu miejsce na tłumaczenie genezy i ewolucji tego typu polskiego myślenia, który pospolicie nazywamy narodowym, a którego wyobrazicielem jest przedewszystkiem Stronnictwo Narodowe. Acz nie jest to niewzruszona doktryna, to jednak, powtarzam, jest to niewątpliwie typ określony. Każdy z nas, przynależny do tego typu, wie z góry, że przybywszy np. do Gdyni, czy do Tarnopola, do Baranowicz, czy do Katowic, do Kielc czy do Leszna, wszędzie z „narodowcem” łatwiej mu się będzie porozumieć, niż z każdym innym Polakiem Wiemy z góry, że całe mnóstwo spraw i to spraw najważniejszych takich jak n. p. polityka zagraniczna, religijna, szkolna, stosunek do Żydów, do sanacji i t. p. mamy poglądy te same. A wystarczy zdać sobie z tego sprawę, by uznać, że „myślenie narodowe” nie jest czemś sztucznem, jak np. owa osławiona „ideologia” BB z przed trzech lat, którą pozytywnie cechował jedynie i wyłącznie wspólny stosunek dodatni do jednej wybitnej osobistości, pozatem absolutnie nic. No, jeszcze chęć trwania przy korycie, jeśli taka chęć może być zakwalifikowana jako element... ideologii.

To też w „Myśli Narodowej” szczególnie niektóre sprawy polskiego narodowego bytu znalazły wyjątkowo dokładny wyraz. Są to zagadnienia nacjonalizmu i jego stosunku do religii, do państwa, do szkoły. Następnie antysemityzm, masoneria, stesunek do sanacji, wojenne orientacje, kwestje bolszewizmu i hitleryzmu, wreszcie cała polityka bieżąca, oglądana sub specie zasadniczego stanowiska politycznego. Osobne miejsce zajmuje w Myśli Narodowej literatura i filozofia, konfrontowane zresztą również z wytycznemi polityki, wreszcie nawet teatr, sztuki plastyczne i muzyka mają tu swój kącik.

Przez „Myśl Narodową” od października 1925 przeszło mnóstwo osób. Zgrubsza można je podzielić na trzy grupy: większość— to ci, co trwają w „Myśli“ od początku do końca, o ile nie zmarli przedwcześnie; część inna — to ta, co popracowawszy narazie, często nawet b. intensywnie, potem odsunęła się od tego tygodnika. Trzecią wreszcie grupę stanowią ci, co względnie niedawno weszli na łamy pisma i trwają dotąd. Ogólna liczba to przeszło 200 współpracowników, często wybitnych“.

Tutaj autor na podstawie pierwszych roczników wymienia długi szereg nazwisk, poczynając od R. Dmowskiego.

NA MARGINESIE

W bufecie sejmowym.

— Ja panom wyraźnie mówiułem, że z tego nic nie wyjdzie. Panowie myśleli, że antysemityzm można opanować zgóry przez demora... *pardon*—przez konsolidację ruchu narodowego i jakieś tam hocki klocki. Panowie potrzebowali krzyczeć: na prawo, na prawo! No i co wyszło? Panowie sami się demoralizowali. Tak nie może być, musimy wrócić do dawnych sposobów d e m o k r a t y c z n y c h — do regularnej, systematycznej, porządnej dezorganizacji społeczeństwa. Mówię to panom po b r a t e r s k u. Pan się już widział z Michałowiczem?

*

Działalność OZN na razie zwolniła tempo, jak to bywa zwykle na zakrętach. Oczekiwana jest bowiem decyzja sfer miarodajnych, czy ma być jej nadany kierunek na prawo, czy na lewo. Wypada przy sposobności zanotować, że mianowanie nowego kierownika w osobie generała Skwarczyńskiego zrobiło w kraju jaknajlepsze wrażenie, jak wiadomo bowiem poprzedni kierownik był tylko pułkownikiem.

*

W łonie stronnictwa Demokratycznego rozważana jest podobno w sposób gruntowny sprawa Madagaskaru. Stanowisko prezesa prof. Michałowicza jest zgodne z poglądem sfer narodowych co do wyboru miejsca emigracji, niezgodne jest wszakże w tym szczególe, że prof. Michałowicz, a z nim całe stronnictwo, pragnie wosiedlenia tam Polaków, nie zaś żydów.

Prof. Michałowicz oczywiście zostałby w Warszawie

TREŚĆ:

Najaktualniejsze hasła *J. Dobraczyńskiego.* — Polska a — Bułgaria *W—b.* — Poemat Andrzeja Zawiszy *A. Krasienickiego.* — O pomyśle i motywach „Klątwy” *W. Fuska.* — Przekłady z Horacego *J. Birkenmajera.* — Na widowni *K. S. Frycza.* — Głosy. — Z obcego świata. — Nauka i literatura. — Zmarli *Z. W.* Film *Kandyda.* — O „Myśli Narodowej”. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM